



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

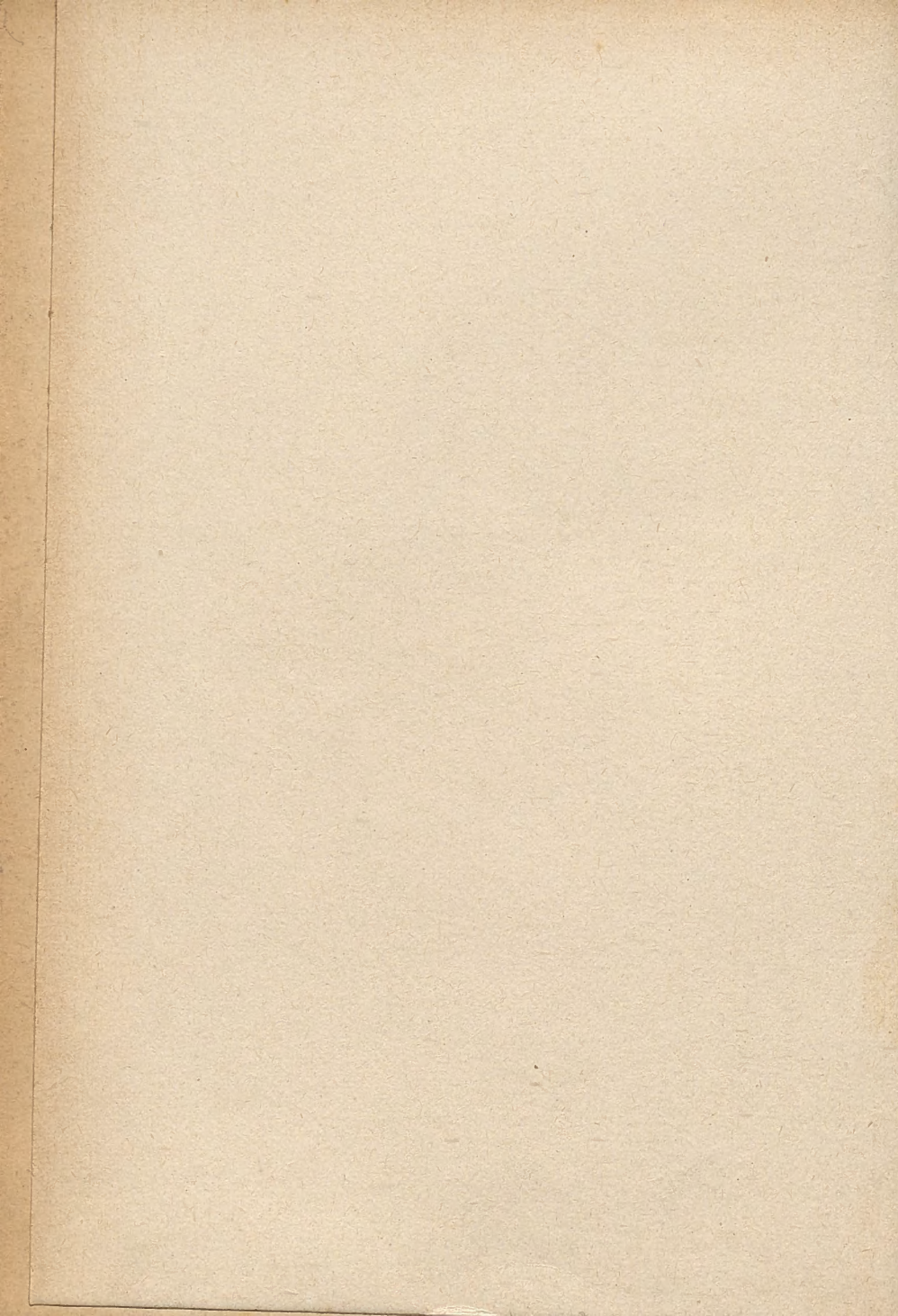
Nr 23

Wachnowska by 1918

ku nieśmiertelnej
sławie

KU NIEŚMIERTELNEJ SŁAWIE





23

leg. 1218

ELIGJA WACHNOWSKA

Ku nieśmiertelnej sławie

WARSZAWA 1935

GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA

Prawa przekładu i przedruku zastrzeżone

Drukarnia M. Arcta w Warszawie

Pamięci

*Naczelnego Wodza – wskrzesiciela Najjaśniejszej
Rzeczypospolitej Polskiej,*

Pana Marszałka

JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

tę skromną pracę poświęcam

*„Miłe mury co mnie dzieckiem
niegdyś pieściły, co kochać wiel-
kość prawdy uczyły. Miasto—sym-
bol naszej wielkiej kultury i pań-
stwowej naszej potęgi. Wszystko
piękno w mej duszy przez Wilno
pieszczone; tu pierwsze słowa mi-
łości, tu pierwsze słowa mądrości,
tu wszystko czem dziecko i młodzie-
niec żył w pieszczocie z murami,
w pieszczocie z pagórkami...”*

*(Z mowy Piłsudskiego z dnia
12 sierpnia 1928 r., w Wilnie)*

R O Z D Z I A Ł P I E R W S Z Y

Donośny dźwięk dzwonka na korytarzu dobiegł do klas.

Energicznie zaczęły się zatrząskiwac pulpity. Nauczyciele opuszczali klasy, uczniowie, radzi, że nareszcie doczekali się *bolszaj pieremieny*¹, hurmem wychodzili na korytarze lub do sali rekreacyjnej.

Zaroiły się korytarze i sala od chłopców różnego wieku, lecz jednakowo ubranych w mundurki I gimnazjum wileńskiego.

Stare mury, mieszczące dawniej Uniwersytet, zamienione przez Rosjan na I gimnazjum, rozdzwoniły się śmiechem i młodemi głosami.

Uczniowie ze starszych klas chodzili grupkami, rozprawiając żywo, młodsi biegali, gonili się ze śmiechem.

Na boku od tych rozbawionych stał dziesięcioletni może chłopczyk, w takim samym jak i inni mundurku. Jego oczy patrzyły z jakąś zaciętością na tych beztroško bawiących się kolegów.

— *Ziuk, a czom ty tak zadumałsia? dumajesz, czto snowa dwójku pałuczysz pa ruskomu jazyku?*²

Niechętnie odwrócił głowę do pytającego. Mały puciołowaty blondynek patrzył na niego dość ironicznie:

— *Nu czto, ugadał ja? dwójku budiesz imiet', ty Palak!*³

Zacisnęły się pięści Ziuka — och, uderzyć, uderzyć mocno w twarz tego śmiejącego się ironicznie Moskala! Powstrzymał się i tylko, patrząc z nienawiścią, rzucił przez zęby:

— *Nie żelaju z taboj razgawariwat*.⁴

Podbiegło dwóch jeszcze chłopców i, ciągnąc za rękę blondynka, zawołali:

— *Alosza, idi s nami igrat' w klasy*.⁵

Odeszli — Ziuk znowu został sam.

— Ziuk! — Obejrzał się i uśmiech zajaśniał na jego smutnej twarzyczce. Przy nim stał Oleś Achmatowicz, kolega dobry, Polak z tatarskiej rodziny. Wesołe czarne oczy patrzą na Ziuka:

— *Paczemu ty takoj pasmurnyj?*⁶

I oto nagle, w ten rosyjski gwar, padły słowa polskie, wyrzucone z rozpaczą z ust Ziuka:

— Och, bo nie mogę, już nie mogę...

— *Pa polski gawarit' nielzia!*⁷ — rozległ się pełen oburzenia głos.

Oleś odwrócił się z przestraczem—za plecami Ziuka stał ich wychowawca, nauczyciel Tatiszczew. Z za okularów patrzyły ze złością zielone małe oczki, trzęsła się z oburzenia rudawa broda czcigodnego obrońcy Rosji.

— *Ty, Piłsudskij, nie znajesz, czto na etom jazykie gawarit' nielzia?!⁸*

Na bladej twarzy Ziuka wykwitły rumieńce. Milczał, patrzył tylko ponuro na wychowawcę.

— *Pajdiosz w karcer na tri czasa! a czto ty bolsze etawo nie diełat! Nu, skaži, czto bolsze pa polski gawarit' nie budiesz.*⁹

Ziuk mocno zaciął usta — och, nie powie, tego nie powie.

— *Wot kakoj gordyj Palak.*¹⁰

— *Palak—Palak*¹¹, huczało w mózgu uporczywie.

Dzwonek — skończona *balszaja pieremiena*,¹²

10 uczniowie wracają do klas.

W przejściu blondynek zjawił się obok Ziuka:

— *A ty idiesz podle urokow w karcer, ja słychać,*¹³
odezwał się zjadliwie.

I znowu zacisnęły się drobne pięści Ziuka.

Lekcja języka rosyjskiego, lekcja najważniejsza, zaczęła się w pierwszej klasie.

Dyktando.

Trzeba uważać, a w piersi tak coś boli na myśl o karcerze. Bo dlaczego, dlaczego?! nie wolno w swojej mowie odezwać się — o Boże, Boże!

Ale uważać, trzeba uważać, bo mamusia chce, żeby Ziuk skończył gimnazjum. Mamusia — ta nieskończenie dobra mamusia...

I Ziuk zaczyna pisać wyraźnie, z zachowaniem *jał'*, wszystkich *miagkich i twiordych znakow*.

A nauczyciel monotonnym głosem dyktuje: *Ticha ukraïnskaja noc...*¹⁴

Przez spowite śnieżną bielą stare uliczki Wilna w długiem gimnazjalnem palcie, z tornistrem na plecach, wraca Ziuk do domu.

Śnieg skrzypi pod bucikami, iskrzy się brylantami zimowiy puch.

Jak teraz ślicznie w Zułowie — myśli Ziuk.

Stary ogród śpi pod białą puszystą kołderką...

Zułów — już tam nigdy nie wróci. Pamięta ten straszny pożar, który zniszczył wszystko.

Niema już dworu — spalony.

Już tylko w myślach pozostanie taki, jakim był dawniej stary dwór w Zułowie.

A potem przyjechali wszyscy do Wilna.

I Ziuk zobaczył Panienkę w Ostrej Bramie. Pokochał Ją swem dziecinnym serduszkim—pokochał całe Wilno. To miasto wiecznie polskie, prastare Wilno.

Wszystko jeszcze byłoby dobrze, gdyby nie to gimnazjum, gdzie po polsku nietylko się uczyć, ale nawet mówić nie wolno.

I Ziukowi się zdaje, że jest niewolnikiem.

Wszystko — nie wolno.

Westchnienie wydziera się z dziecinnej piersi.

Zadzwończy wesoło dzwonki przejeżdżających sań.

Ziuk patrzy na nie: rozparty w saniach w wielkim mikołajewskim płaszczu, w czapce nabakier, jedzie oficer rosyjski.

Przemknęły sanki — Ziuk patrzy za niemi, a w oczach jego nienawiść i wżgarda.

Na stare domy Wilna, wąskie uliczki, pada biały, puszysty śnieg.

— Dlaczego tak późno, Ziuku?

— Siedziałem w karcerze.

— Coś zrobił takiego, synku?

— Nic nie zrobiłem, mamusiu, tylko zacząłem mówić po polsku, wychowawca usłyszał i... — nie kończy, patrzy smutnie na matkę.

A blada twarz Marji Piłsudskiej staje się jeszcze bledsza — nie mówi nic, tylko zimnemi ustami dotyka czoła syna.

— Idź, Ziuku, zjedz obiad, musisz być głodny — mówi spokojnie, bardzo spokojnie, chociaż w oczach łąy się tają, lecz nie spłyną po twarzy, bo wtedy zobaczyłby je Ziuk, a tego nie trzeba, nie trzeba...

R O Z D Z I A Ł D R U G I

Nad pamiętnikiem Gordona-zesłańca pochylony chłopiec kilkunastoletni. Lampa oświetlała ciemną, na jeża ostrzyżoną głowę.

Błądzą po kartkach książki poważne oczy. Z tych kartek poźółkłych wyłania się wizja męczenników polskich...

I wstają, jak żywi, Traugutt, Sierakowski i ci bezimienni, co mogiłami zastali drogę na Sybir.

Na Sybir...

Idą widma, po śniegu głębokim, kajdany dźwięczą niewolą.

Wiatr wyje i wznosi śnieg wgórze, tańczy zawrotny potępieńczy tan.

Wyłaniają się z lasów widma, stają dokoła, a krew spływa im po twarzy, pierś czerwoną posoką broczy...

Widma, których mogiły krzyżem nawet nie są znaczone.

Powstańcy, powstańcy — którzy w beznadziejny bój poszli.

Garstka „szaleńców...”

Wychylają się z kartek książki te postacie, otaczają zewsząd zacytanego chłopca.

Mądra głowa Traugutta stryczkiem hańbiącym otoczona.

Męczennicy polskości.

Hula wiatr po stepie, pędzą po śniegu puszystym kibitki, zda się chłopcu, że jęki upiorne słyszy, że słyszy płacz matek i dzieci.

Szare oczy odrywają się od kartek książki — na dłoni oparta głowa.

Zadumał się Ziuk. Wizje wywołane przed oczyma jak żywe stoją. Dlaczego tak się stało? Dlaczego wszystko, co piękne, zginąć musi?

Ojczyzna — ukochana nad wszystko ojczyzna!

Gorycz i ból zalewa serce Ziuka.

Bunt rośnie w piersi młodzieńczej — z gołemi pięściami szedłby na Moskala, ale to śmieszne, dziecinne! Gdzie, w czym ratunek?

Gdzieś od strony Wschodu, z Petersburga, dobiegła wieść o *Narodnej Woli*¹⁵. Cicha, potajemna wieść o bohaterskim zmaganiu się z caratem. Czyżby tam był ratunek?

Bo w Warszawie cicho, cicho... Blady strach padł na społeczeństwo polskie; strach na każdą myśl żywszą. Śpi Warszawą snem letargicznym.

— Ziuk, o czym tak myślisz?

Odwraca głowę i rękę serdecznie wyciąga do stojącego przy nim kolegi.

— Tak się zamysliłem, że nie słyszałem nawet jak wszedłeś.

Znowuś się zamyslił, Ziuk, i zapomniałeś pewnie, że dziś zebranie naszego kółka.

— Ja zapomniałem?! To się stać nie mogło! Ale jeszcze nie czas tam iść.

— Tak przyszedłem wcześniej, by z tobą trochę pogadać, no i razem do „Spójni“ pójdziemy. A brat twój jest?

— Bromisław wyszedł, ale na zebranie przyjdzie na pewno. Czy wiesz, Olesiu, że coraz więcej do nas kolegów przychodzi?

Oleś Achmatowicz pochylił się nad rozłożoną
14 książką.

— O pamiętniki Gordona! Odrazu wiedziałem, 15
że czytasz coś na pewno w związku z powstaniem.

— A czyż to nie najpiękniejsze chwile bohater-
stwa polskiego?

— I Golgoty.

— Ale po cierpieniach przychodzi nagroda, wie-
rzę w odrodzenie Polski! Gdy tylko skończę gimna-
zjum, zacznę walczyć z caratem.

Wyraz podziwu, lecz i niedowierzania zajaśniał
w oczach Olesia.

— A cóż ty sam będziesz mógł zdziałać?

Zapłonęły oczy Ziuka.

— Pociągnę za sobą społeczeństwo, obudzę
w niem uspiętego ducha! Jeżeli nie pójdą za mną
sfery wyższe, to pójdzie lud. W nim zbudzę ducha.

— Ślicznie to mówisz, Ziuk. Gdy tak słucham
ciebie, wierzę, że to się stanie.

Do pokoju cicho weszła Marja Piłsudska i zbliży-
ła się do syna:

— Czy dziś jeszcze wyjdiesz, Ziuk?

— Tak, mamó. Oleś przyszedł po mnie.

— Gdzie idziecie?

— Tam, gdzie można mówić i czytać o Polsce.

— To idź, synu.

Niemal z nabożeństwem przytulił Ziuk rękę mat-
ki do ust.

— Matko, matko moja najdroższa. I tak, jak za
lat dziecinnych, usta Marji Piłsudskiej dotknęły czoła
syna.

Wąską uliczką Wilna szedł Ziuk z Olesiem. Pierw-
szy wiosenny podmuch wionął ku nim z Bernardyń-
skiego ogrodu. Ziuk wciągnął powietrze pełną piersią.

— Wiosna, oby dla nas przyszła kiedyś prawdziwa wiosna.

— Nim ona przyjdzie, trzeba tymczasem wkuwać czcigodną literaturę rosyjską.

— Ach, nie przypominaj mi przynajmniej tych koszmarnych rzeczy. Nie mogę już znosić polityki naszych pedagogów, ich ciągłych zaczepek. Hańbią wszystko, co polskie.

— I jeszcze tej katorgi dwa lata.

— A potem nowe życie, uniwersytet to już nie gimnazjum.

— A najważniejsza: pożegnanie z inspektorem i *nadzirатіem*.

— Tak, w uniwersytecie chociaż trochę się odechnie. Marzę o chwili otrzymania matury.

— I gdzie myślisz na dalsze studia wyjechać?

— Do Charkowa.

— Ja już obmyśliłem na jaki wydział wstąpię — będę prawnikiem, ale to mi się wydaje takie jeszcze dalekie.

— Jesteśmy już u celu — przerwał Ziuk — no, teraz obejrzyć się i prędko w bramę.

R O Z D Z I A Ł T R Z E C I

Umarła! Umarła ta jasna i dobra.

Niema już matki. Skończyło się. A ostatnie łyż tam, na grobie.

Odeszła, ale obraz na wieki w duszy zostanie.

16 Ktoś zniknął z domu — o jedno miejsce mniej przy stole, to przecież nic. A jednak, choć tylko jed-

na osoba odeszła — tak pusto, tak strasznie pusto 17
w domu. Wąsy ojca siwe, siwe już zupełnie, a Ziuk
w 8-ej klasie. Za pół roku matura. Nie doczekała
się matka, lecz zdaje się Ziukowi, że duch jej przy
nim pozostał. Jak biały anioł stoi poza nim i strzeże
go, strzeże jego duszy, co na ukochaniu bohaterów
wolności urosła, wierszami wieszczki Słowackiego się
karmiła.

Matka — jasny duch.

Złożyli do grobu ciało, ziemią przysypali, ale du-
szy wszak nikt nie pogrzebał.

Ona strzeże swego „małego Ziuka“.

A w jego duszy te same ideały. Glorja męczenni-
ków Polski, męczenników wolności.

Nie zagubi swej duszy Ziuk! Nie zagubi!

Bądź spokojna, Matko!

Monotonnie stukają koła pociągu. Przez szybę
wagonu patrzy w przestrzeń Ziuk. Oto zbliża się do
Charkowa — czeka go nowe życie. Co w niem znaj-
dzie?

Czy młodzież polska czynna? Czy też tylko ro-
syjska? Wiedział, że wśród studentów dużo jest uczest-
ników *Narodnej Woli*. Czy wstąpi do tej partji? Chy-
ba nie.

Studja nad socjalizmem, jakie przeprowadzał,
czytując utwory publicystyczne, nie zachęcały go
zbyt. Nużyła niejasna gadanina z aluzjami do
wypadków życia społecznego. To życie rosyjskie by-
ło mu zupełnie obce.

I ten mesjanizm rosyjski!

Lecz porównanie Rosji z Polską wypada na ko-

rzyść Rosji. Upokorzeniem to jest dla Polaka. Nie daje człowieka skarłałe społeczeństwo polskie — i to bolesne, bardzo bolesne.

Zatrzymał się pociąg — Charków.

Ziuk zbiera swe rzeczy, nie ma ich zbyt wiele i z falą podróżnych wysiada na peron.

Oto znalazł się w Charkowie, celu dalszych studiów.

I znowu Wilno.

Stare, ukochane mury miasta, Ostra Brama, kościółek Bonifraterski, ogród Bernardyński, wąskie uliczki, góra Gedymina — wszystko, co ukochał całą duszą. Uniwersytet poza nim.

Ściągają się chmurnie brwi na myśl, że zawieszono go w prawie korzystania z dalszych studiów z powodu drobnych starć z władzami.

Wszak nie należał nawet do partji. Lecz żandarmerji nie podobały się stalowe oczy i zwichrzona czupryna zbyt — według nich — poważnego studenta. I przyszło wydalenie administracyjne z Charkowa. Nic to, będzie się uczył sam, uzupełni dalszą lekturą luki.

Na stole rozrzucone broszurki socjalistyczne. Pierwsze polskie broszurki Młota, a obok Liebknechta „W obronie prawdy“ i „Kapitał“ Marksa.

Pochylona nad niemi ciemna głowa Ziuka.

Marks! Ten wielkiego ideału człowiek.

Jego „Kapitał“ pochłania Ziuka, lecz czas już iść do swego kółka — zawiązał go Ziuk w styczności z robotnikami.

18 Ież pracy trzeba poświęcać na oświatę wśród ludu. Lecz jakże tych ludzi w proste, robotnicze bluzy

ubranych, nie kochać?! Tak garną się do oświaty, 19
tak wszystko ich interesuje. Dla nich odbija tajne
pismo na hektografie. Cóż z tego, że grozić to może
więzieniem.

Oświata! Lud łaknie oświaty. I oni jedni pójdą
walczyć w imię Polski. Pójdą, gdy przyjdzie czas.

Na tę myśl przesuwają się po ustach Ziuka uśmiech
i odbija się łagodnym blaskiem w myślących oczach.

Niby błyskawica zajaśniała nad Rosją wieść o za-
machu na cara Aleksandra III, dokonanym dnia
13 marca 1887 roku.

Zamach się nie udał, lecz sama myśl, że znaleźli
się ludzie, którzy mieli odwagę porwać się na maje-
stat spodłałego cara, sama myśl ta budziła w wielu
sercach uśpionego ducha.

I przyszły rewizje, aresztowania.

Zandarmerja święciła triumfy.

Zawisli na szubienicach zamachowcy; zawisł mło-
dy Uljanow, a młodszy brat jego zaciskał pięści i przy-
sięgał zemstę Romanowym.

Bronisław Piłsudski został skazany na 15 lat cięż-
kich robót na Sachalinie tylko za sprzyjanie zama-
chowcom.

A Ziuk?

Wystarczyło, że był bratem aresztowanego — ska-
zano go na pięcioletnie zesłanie na Sybir.

W twierdzy Pietropawłowskiej, w Petersburgu,
uwięziono Ziuka.

Ta sama władza, która zabiła mu stryja, przez
którą płynęły ciche łzy matki, zamknęła wrota wię-
zienne za Ziukiem.

A w parę miesięcy potem, drogą polskich męczenników, drogą kibitek, pojechał Ziuk wśród innych nieszczęsnych, hen przez Tomsk, Irkuck, drogą mogił i łez.

A wiatr syberyjski wieje, wyje potępieńczo, — hej, jadą ludzie dla cara, w dalekie stepy północy, hen do Kireńska nad Leną!

Etapy! Miesiące podróży.

Wyje i huczy wiatr.

Dusza rwie się na strzępy i serce boli.

Ach, nie tak rani uderzenie kolbą w więzieniu irkuckiem, nie tak boli sponiewieranie, nie tak krwawi krew z ust, gdy żołdak kolbą uderzył w twarz — jak myśl, że wszystko, co piękne — ginie, co szlachetne — idzie na poniewierkę.

A tam w Petersburgu biały car śmieje się, szyderczo się śmieje z *miatieżników*¹⁶.

On — zwycięski car rosyjski, dumny ze zwycięstwa, bo wielkich pokonał wrogów: dzieci w mundurkach gimnazjalnych i garść młodzieńców, z rozpalonymi ideą oczami.

Biały zwycięski car!

Wyje wiatr na szerokim stepie...

Idą podwody, idą ludzie, „wierni poddani cara“, hen za Irkuck, na ciężkie roboty, do tajg i tundr syberyjskich.

Idą!...

Rozgorzałemi oczami patrzy Ziuk i zdaje mu się, że umęczona ojczyzna ręce do niego wyciąga...

Giną obrazy dzikiego ataku uzbrojonej hordy żołdaków na bezbronną garść ludzi, tam w celi więziennej, w Irkucku.

obrazie — przed oczyma widzi już tylko wizję Polski 21
i ręce jej wyciągnięte i jakby szept cichy słyszy:

— Zbudź duch narodu.

Wyje potępieńczo wiatr, a wdał ciągną szarym sznurem „wierni poddani cara“.

Kireńsk — żywy grób.

I stanął Ziuk w miejscu swego zesłania. Przybył na długich pięć lat.

Tyle tu w tej ziemi spoczywa kości, kości poprzedników — takich jak on zesłańców.

Wkrótce po przybyciu ciężka go powaliła choroba — czyż przyjdzie zginąć marnie?! Buntuje się dusza.

Nie, przenigdy!

A sił coraz mniej, ciągnie Kireńsk w głąb swej ziemi, by o jeden był więcej grób.

Gdy już siły zupełnie opuszczały Ziuka, nadeszło pozwolenie przeniesienia się do Tunki. Miasteczko o może troszkę łagodniejszym klimacie niż Kireńsk.

I spojrzwały na Ziuka oczy Bronisława Schwarca. Dawny członek Komitetu Centralnego, z okresu poprzedzającego powstanie styczniowe, skazany na karę więzienia w Szliselburgu, gdzie na chwilę ujrzał umierającego Walerjana Łukasińskiego. A potem przyszło zesłanie.

W małym, zawianym śniegiem domku przepędzał długie wieczory z przybyłym do Tunki Ziukiem.

Prowadzili niekończące się rozmowy o Polsce, o nowym, budzącym się duchu socjalizmu.

Mijały powoli lata — dojrzewiała dusza Ziuka.

Na wygnaniu zastanawiał się nad narodem, z któ-

rym wiązało go wszystko, co boli, wszystko, co myślał i co czuł.

I dziecinne marzenia zespały się z młodzieńczym światopoglądem. Socjalizm, ale socjalizm mający za hasło niepodległość kraju, taki tylko socjalizm zwyciężyć może w Polsce.

Piąty rok zesłania dobiegał ku końcowi—nadszedł nareszcie rok 1892.

Ziuk wraca do kraju, wraca do ukochanego Wilna. Z duszą zahartowaną bólem, z duszą dojrzałą do wielkich czynów, stanął znowu na ziemi przodków z niezłomnem postanowieniem poświęcenia się dla walki, zdawałoby się — beznadziejnej, dla walki — o niepodległość Ojczyzny.

R O Z D Z I A Ł C Z W A R T Y

W małym zacisznym salonie, przy rozstawionym stoliku do kart, siedział przy wincie gospodarz tego domu pan Maksymiljan Porczyński. Towarzyszami jego w grze byli starzy przyjaciele: Wiktor Jodko, Ewaryst Turnowski i Edward Grzymało.

Właśnie ukończono robra i gospodarz z miłym uśmiechem zaproponował gościom, aby przeszli do jadalni w celu pokrzepienia się dobrą przekąską i starą śliwowicą.

Pan Maksymiljan Porczyński, zatwardziały kawaler, zjeść lubił dobrze, to też trzymał wytrawną gospodynię, która umiała przyrządzać wszelkie smakołyki.

W wesołych humorach przeszli wszyscy do jadalni, gdzie przy suto zastawionym stole zajęli miejsca.

Skończywszy ożywioną dyskusję na temat ostatniego robra, przy czwartej już kolejce śliwowicy, panowie przeszli na tematy ogólne.

— Czy wiecie, przyjaciele — odezwał się pan Edward Grzymała — że tworzą się u nas ciągle grupki polityczne.

— Najgorzej mnie złości to ta socjalistyczna partja, ukryta a niebezpieczna. Wywrotowcy! Och, myśleć o tem nie mogę, rzekł gospodarz, wychylając jednym haustem piątą już zrzędu zawartość kieliszka.

— I o co tym ludziom chodzi? — odezwał się milczący do tej chwili pan Ewaryst Turowski, człowiek *blagonadziejny*¹⁷, spokojny, nie mający nigdy zatargów z policją.

Otóż to, otóż to! dobrze dążeń ich nie znam, ale ta idea powszechnej rewolucji — bezsensowna! I pomyśleć, że taki Ludwik Zajkowski, adwokat, należy do nich.

— Co mówicie, przyjacielu, to niemożliwe, skądże o tem wiecie?

— Skąd wiem, to wiem — zaśmiał się gospodarz — o! czasem z ich konspiracyjnej organizacji uda się coś usłyszeć.

— Co za czasy, co za czasy! Poszanowania władzy nie mają, myślą o jakichś niemożliwościach, a wszyscy w więzieniach marnie żywot skończą.

— Tak, jak to w zeszłym roku wielu aresztowano, a i teraz w marcu, pamiętacie? znowu były areszty. Bodajby ten nasz rok 1892 przeszedł spokojnie.

— A toż to tylko garstka zapaleńców, policja da

sobie z nimi radę, byleby tylko nam to w czem nie zaszkodziło.

— Cóż my, nie mamy z nimi nic wspólnego, dbamy o to, by życie się tylko dobrze ułożyło, więc cóż nam zrobić mogą?

— Dostyc już tych rozmów politycznych, ot jeszcze po jednym kieliszku i do następnego robra, zgoda, przyjaciele?

— Zgoda, zgoda! Za przykładem gospodarza zawołali goście i, wychyliwszy jeszcze jedną kolejkę, wrócili do salonu, aby zakończyć partję winta.

Mógł dumny być Ziuk — skreślił z socjalizmu polskiego ideologję bezojczyźnianą.

Socjalizm polski przyjął za postulat niepodległość. Zjazd polskich działaczy socjalistycznych w Paryżu uchwalił ten postulat. On to stworzył nowy prąd, nowy kierunek, a wynikiem tego zjazdu było jeszcze połączenie grup emigracyjnych w jedną całość.

Partja socjalistyczna stawiała się coraz silniejsza.

Tu, w Wilnie, miała kilku wybitniejszych działaczy: Dominik Rymkiewicz, Stefan Bielak, Tatar, lecz Polak duszą, Ludwik Zajkowski, Kazimierz Pietkiewicz, Aleksander Sulkiewicz — to wszystko ludzie idei, ludzie, którzy złożyli swą pracę, siły i życie na ołtarzu walki o niepodległość.

Nikt nie umiał tak dobrze przemycać bibuły socjalistycznej, jak Aleksander Sulkiewicz, zwano go przez to „przemynikiem“.

Ziuk na myśl o tych wszystkich działaczach uśmiechnął się, a uśmiech był takim rzadkim gościem

Partja była oparta na żywiole ludowym i robotniczym.

Oto przed paru miesiącami odbył się pierwszy zjazd krajowy Polskiej Partji Socjalistycznej. W górach i lasach ponarskich, z zachowaniem wszelkich ostrożności, zebrała się grupa ludzi, walczących o niepodległość Polski.

Czemże oni byli w porównaniu z potęgą rządu zaborczego? „Szaleńcy“ — jak ich współcześni nazywali. A jednak Ziuk wierzy w siłę partji, wierzy, że dużo będzie mogła zdziałać.

Następny zjazd w Warszawie — rozmyśla Ziuk. Najważniejsza rzecz, aby powstało pismo. Słowem dopiero można zbudzić uspiętego ducha narodu.

Tak, trzeba to przeprowadzić — decyduje Ziuk.

R O Z D Z I A Ł P I Ą T Y

Warszawa. Warszawa mocno butem moskiewskim przytłoczona. Na ulicach widoczne mundury zaborców, w lokalach publicznych hulają carscy oficerowie, a potem swemi rysakami mkną w szalonym pędzie w kierunku Wilanowa.

Bawi się Warszawa. Smutne, że wśród bawiących się widać dużo Polaków. Rzewnie gra orkiestra romanse cygańskie, rozmarza to nawpół pijanych oficerów; obejmują piękne ciała szansonistek i usta przytulają do ich obnażonych ramion.

— *Ej, raspaso!*

Bawi się i społeczeństwo polskie, bawi się w jakimś otumanieniu — haszysz niewoli działa.

W tym samym czasie, gdy Warszawa hucznie obchodziła karnawał 1894 roku, gdzieś w zakonspirowanym lokalu, w temże samem mieście odbywał się zjazd Polskiej Partji Socjalistycznej.

Powstaje Centralny Komitet Robotniczy; wchodzi do niego Ziuk — towarzysz Wiktor.

W dwa miesiące później pamiętna manifestacja studentów wstrząsnęła uśpioną, odpoczywającą po karnawale, Warszawą.

W Lipniskach powstaje tajna drukarnia, a naczelnym drukarzem „Robotnika“ — towarzysz Wiktor.

Jakże trudno było tworzyć dwunastostronicowy numer! Piętnaście dni pracy to kosztowało.

A kolportażem bibuły trudniła się ofiarna Polka Marja Gertruda Paszkowska.

Jakżeż trzeba było przestrzegać tajności, tyle się wokół kręciło szpiclów. Straceńcy, garstka straceńców w ciągłej nieustannej walce.

Garstka tych, którzy się wyrzekli domu, spokoju, mienia i, zapatrzeni wciąż tylko w wizję Niepodległości, szli w walkę beznadziejną, konspiracyjną, ukrytą, jakby nie patriotami byli, ale bandytami, tropionymi przez sprawiedliwość za popełnione zbrodnie.

W Warszawie rządy Hurki i Apuchtina — wszystko, co polskie, na hańbę i poniewierkę.

Z małej drukarenki, znajdującej się naprzód w Lipniskach, później w Wilnie, wreszcie w 1899 roku w Łodzi, padają głosy protestu. Z łamów „Robotnika“ ktoś się ośmiela wypowiadać zaborcom wojnę.

Wzmaga się coraz bardziej prześladowanie Polaków pod zaborem niemieckim i rosyjskim.

W Wilnie odsłaniają pomnik Murawjewa i znów 27
głos protestu tajnego pisma. Rewizje nocne w dziel-
nicach Warszawy i Łodzi to chleb powszedni.

Buntuje się dusza towarzysza Wiktor. Ach, od-
rzucić tajną robotę i wystąpić z karabinem przeciwko
przemocy! Lecz nie, na to jeszcze za wcześnie, to
tylko marzenie.

Jak zwierzę ucieka przed pościgiem, ukrywa się
przed zasadzkami — mimo prześladowań „Robotnik“
żyje. Wychodzi numer za numerem. Na szpaltach
pisma ogłasza towarzysz Wiktor memoriał księcia
Imeretyńskiego.

Partja socjalistyczna rośnie w siły. Do pomocy
towarzyszowi Wiktorowi staje Kazimierz Rożnowski
i Stanisław Wojciechowski.

Nadeszła noc z 21 na 22 lutego 1900 roku. Do
małego mieszkanka państwa Piłsudskich w Łodzi,
gdzie mieści się drukarnia, wchodzi żandarmerja.

36 numer „Robotnika“ przyłapany. Skończy-
ło się.

Towarzysz Wiktor patrzy na tę swoją maszynkę,
na którą tak często narzekał, bo pracować na niej
trudno było, a którą tak bardzo kochał.

Podpułkownik żandarmerji Gnoiński z zaciekla-
wieniem pochyla się nad świeżo wydrukowanym nu-
merem, czyta, uśmiecha się:

— *Wot wam i koniec*¹⁸, mówi, patrząc drwiąco
w szare oczy Wiktor.

Spokojny, tylko bardzo blady, otoczony żandar-
merją, wychodzi towarzysz Wiktor ze swego domu.

Z jakąż pieczołowitością wiozą go do Warszawy;
żandarmi na krok nie odchodzą.

Eskorta, królewska eskorta!

Po przybyciu na miejsce przekroczył towarzysza Wiktor ciężkie podwoje cytadeli. X pawilon...

Długie godziny samotności, przerywane wezwaniami na badania.

Kiedyś, gdy przyprowadzono go znowu na nie wiadomo już które zrzędu badanie — szare oczy dojrzały na żandarmskim biurku czerwoną broszurkę „Czego chcą socjaliści“.

Uśmiechnęły się do niej smutne oczy. Niby ponowy kwiat zajaśniała wśród beznadziejnej szarości więzienia, niby stygmat wolności, ta mała księżeczka. Lecz żandarm dostrzegł wzrok więźnia i prędko ręką tę jasną czerwień przykrył. Ręka ta, niby symbol cesarskiej władzy, pozostała w pamięci Wiktora na długo.

A w partji zapadło nieodwołalne postanowienie, aby za cenę bodajże największych poświęceń uwolnić z więzienia towarzysza Wiktora.

R O Z D Z I A Ł S Z Ó S T Y

W 1899 roku, w karnawale, w mieszkaniu państwa Woydyńskich w Kijowie odbywał się wieczorek taneczny, składkowy, dla młodzieży gimnazjalnej i studenckiej. Licznie się stawili zwolennicy tańca: panienki w białych, różowych i niebieskich sukienkach i młodzieńcy w mundurach gimnazjalnych lub studenckich.

Dla ogółu była to zwykła zabawa taneczna, lecz garstka wtajemniczonych wiedziała, że dochód z biletów i bufetu idzie na Polską Partję Socjalistyczną.

Ten, który był inicjatorem wieczorku, przywódca partji w Kijowie Aleksander Szymański siedział w małym saloniku, sąsiadującym z dużym pokojem, gdzie tańczono. Rozmyślał właśnie, jaki w przybliżeniu będzie dochód z zabawy, gdy zbliżyła się do niego panna Sabina Zawadzka, jedna z czynnych członków partji.

Aleksander uśmiechnął się przyjaźnie do niej:

— Proszę spocząć, rzekł, wstając i wskazując stojący obok niego fotelik.

— Chętnie.

— *Chaine des dames* — dobiegł do nich świeży młody głos studenta, dyrygującego tańcami.

— Bawią się, a nie wiedzą dlaczego właściwie, nie przypuszczają, na jak wzniosły cel pójdzie dochód z tej beztroskiej zabawy, odezwał się Szymański, patrząc na migające w tańcu pary, widoczne przez uchylone drzwi.

— Niektórzy z zebranych domyślają się prawdy.

— Lecz takich jest bardzo mało.

— Oczywiście — potwierdziła Sabina — ale może przejdziemy do bufetu, zobaczymy, co się tam dzieje.

— Służę pani.

Wstali i właśnie mieli opuścić zaciszny kącik, gdy do saloniku raczej wbiegła niż weszła młodziutka, może szesnastoletnia panienska.

Na białą batystową sukienkę spadały dwa grube barwy dukatowego złota warkocze. Z alabastrowej twarzy spojrzwały na Aleksandra Szymańskiego

duże orzechowe oczy, roześmiane śmiechem psotnego chochlika.

Zatrzymała się na środku saloniku biała panienska. Niby pytaniem jakimś rozchyliły się świeże różowe usteczka, orzechowe oczy zostały uwiecznione spojrzeniem Aleksandra Szymańskiego.

Patrzył, jak urzeczony, na tę wiośnianą dziewczęcą postać.

I stali tak naprzeciwko siebie, wzajemnie nie mogąc oderwać oczu.

— Panno Miro, pozwoli pani, że przedstawię jej pana Aleksandra Szymańskiego, — rozległ się spokojny głos Sabiny Zawadzkiej.

Na sekundę biała dziewczęca rączka znalazła się w dłoni Szymańskiego.

Rzewna melodia walca dolatywała do nich.

— Tańczymy, prawda? — powiedziała Mira, nie zwracając najmniejszej uwagi na faux-pas, jakie w tej chwili popełniła.

Aleksander uśmiechnął się:

— Za stary już na to jestem — od lat dziesięciu nie tańczę.

— Cóż z tego? ale ze mną pan zatańczy.

Znowu spotkały się ich oczy...

Szymański uklonił się nisko przed Mirą i ku zdumieniu Sabiny, znającej dobrze tego wielkiego patriotę i niestrudzonego towarzysza w pracy konspiracyjnej, poszedł tańczyć.

Stała na progu i obserwowała tę parę.

Poważne szafirowe oczy Aleksandra nie odrywały się od twarzązki Miry; coś mówił do niej, śmiał się...

Sercem Sabiny targnął niepokój.

Tak go kochała... Nigdy nie okazywał jej nic po za przyjaźnią, ale łudziła się, że nadejdzie chwila, gdy i on ją pokocha. Przecież z nią najwięcej przebywał. Lubił rozmawiać długo o partji i pracy, której się poświęcał. On, właściciel olbrzymich przedsiębiorstw naftowych na Kaukazie, oddawał prawie wszystkie dochody na partję, stał na jej czele, a jednocześnie budził ruch wolnościowy wśród Ukraińców.

Poważny, zrównoważony, zapatrzony w swe wielkie idee, trzydziesto czteroletni mężczyzna cóż mógł zobaczyć ciekawego w tem dziecku prawie, jakim była Mira Strumińska?

Znała ją mało: wiedziała tyle, że jest córką zamożnego ziemianina z Podola, mieszka z matką w Kijowie i uczęszcza do gimnazjum. Przeciętna młodziutka, szesnastoletnia dziewczyna.

Sądziła, że jej ukochany pragnie widzieć w kobiecie coś więcej niż tylko ładną świeżą twarzyczkę.

Czem go tak oczarowała?

Parę jej słów i on, który nie tańczył nigdy, posłusznie wiruje w walcu, a oczy mu się śmieją, ile razy spojrzy na delikatnie zaróżowioną tańcem twarzyczkę lub złotą główkę panienki.

Skończył się walc.

— Co pani ze mnie zrobiła? — odezwał się Aleksander do Miry — aż wstyd mi. Ja, poważny człowiek, tańczę, jak gimnazysta lub student.

— Czy pan żałuje? — różowe usteczka pytają a orzechowe oczy, pełne złocistych iskierek, patrzą figlarnie.

— Nie żałuję... jestem szczęśliwy.

Ukryły się pod firankami długich rzęs roześmiane oczy, a leciutki rumieniec zabarwił alabastrowe dziewczęce policzki.

Na trzeci dzień po wieczorku do mieszkania pani Heleny Strumińskiej zadzwonił Aleksander Szynański.

Pierwsza, piętnastominutowa wizyta.

Patrzy na Mirę, która wygląda jeszcze dziecinniej w brązowym mundurku z białym kołnierzykiem i mankiecikami.

Mówią szafirowe oczy: — serce mi zabrałaś panielko śliczna!

A orzechowe odpowiadają: „Nie wiem... nie wiem“...

Jakież dziwne uczucie wzruszenia, gdy na chwilę, przy powitaniu i pożegnaniu, znajduje się w jego dłoni mała rączka! Chciałby ją przycisnąć do ust — ale to shoking.

I cóżby na to powiedziały piękne usta pani Strumińskiej? Odrazu straciłby całą sympatję i przychylność, jaką wyczuwał u tej dumnej, wyniosłej pani.

Więc tylko lekki uścisk dłoni i nadzieja, że prędko ujrzy znowu orzechowe, pełne złotych iskier oczy.

A po jego wyjściu w dziewczęcej sypialni przytula Mira twarzyczkę do purpurowych róż. Pierwsze kwiaty, jakie w życiu dostała. Kwiaty od niego. Serce uderza mocno...

— Pan Aleksander, Aleksander, — cicho szepcze i usteczka jej dotykają miękkich, aksamitnych, pachnących upojnie, płatków róż.

R O Z D Z I A Ł S I Ó D M Y

Zmierzch otula salon. Przy fortepianie siedzi Aleksander. Z pod rasowych palców płyną cudne tony. Jakaś melodia dziwna, nieznana, opowiadająca o poszumie lasów, o śniegach Syberji. A potem, jakby krople deszczu, ściekającego po szybach w jesienne, listopadowe dni. Powiało beznadziejnością, smutkiem, rezygnacją. Lecz oto melodia się zmienia... Niiby pieśczętą drży, szepcze słowa miłości... zrywa się pożądaniem... znowu cichnie i czarem ukochania spowiada się z wielkiego uczucia...

Mira słucha; patrzy na rysującą się w mroku sylwetkę marzeczonego i słucha...

Rok mija od chwili, gdy po raz pierwszy go zobaczyła.

W bajkę o jasnej i czystej miłości, miłości bielszej ponad śnieg, zmieniło się życie Miry.

Te nieśmiałe uściski rąk, spojrzenia o kochaniu mówiące, róże purpurowe, co wcześniej powiedziały o miłości dziewczynie niż ten, który je przysyłał.

Po paru miesiącach nastąpił wyjazd Miry do ojca.

Strumiłów, ukochany Strumiłów. Bo jakże nie kochać dworu, w którym pokolenia wyrosły? Stare pokoje, pełne portretów rodzinnych, ogród owocowy, gdzie małą dziewczynką biegała i wdrapywała się na drzewa, uważając, że te gruszki najsmaczniejsze, które się je, siedząc na gałęzi. A że potem sukienka i pończochy przedstawiały widok godny pożalowania, było dla Miry rzeczą całkowicie obojętną.

Po przyjeździe natychmiast pobiegła do stajni, gdyż konie lubiła bałwochwaleczo. Przywitanie nastą-

piło ze wszystkimi, ale najdłużej zatrzymała się przy swej wierzbówce. Objęła lśniąca szyję konia i ucałowała mądry łeb zwierzęcia: „tęskniłaś za panienką, no, powiedz, ty słiczna?“.

Strumiłów, stara kolebka jej rodu — od sześciuset lat w rękach Strumińskich!

Ale po raz pierwszy w ciągu wakacyj powracała myślą do Kijowa. Tam pozostał pan Aleksander i dziewczęce serce tęskni.

Przeszło lato, powróciła do gimnazjum i znowu zobaczyła pana Aleksandra.

W grudniu oświadczył się — oto od dwóch miesięcy jest zaręczona.

Cudna, niezapomniana chwila, gdy usłyszała słowo

— Kocham...

Serduszko biło mocno, jak dzwon na wielkie święto — na święto miłości.

Zacząła przebywać często z narzeczonym, a on wtedy, poza słowami mówiącemi o głębokiem uczuciu, zaczął opowiadać rzeczy dziwne a Mirze obce zupełnie.

Mówił o ludziach głodnych, bosych i smutnych — tłumaczył, że to zupełnie tacy sami ludzie, jak ci — mieszkający w pięknych pokojach.

A potem przyszły opowiadania o walce z caratem. Tak, bo wszystkiemu złemu carat był winien.

— Za naszą i waszą wolność — usłyszała Mira z ust narzeczonego.

Długo mówił o garstce ludzi, którzy, nie bacząc na niebezpieczeństwo, wypowiedzieli cichą zakonspirowaną wojnę caratowi i wierzą, że nadejdzie chwila,

gdy w otwartym boju będą mogli zacząć walczyć 35
o niepodległość.

Wkońcu ostatnia dla Miry wieść: Polska Partja Socjalistyczna, a w Kijowie na jej czele stoi narzeczony.

Tak — on. Zdumieniem rozszerzały się wesołe orzechowe oczy. To wszystko było najpierw niezrozumiałe, potem zaczęło zaciiekawiać, a gdy dowiedziała się, że narzeczony czynny udział w tej partji bierze, ugruntowało się w niej przekonanie, że wszystko to musi być dobre i wskazane, gdyż ukochany nie mógłby się w niczem mylić. Obiecał, że zaprowadzi Mirę na potajemne zebranie. Była ciekawa tej pracy konspiracyjnej, ale często myślała, że lepiejby było, gdyby narzeczony przesiadywał przy fortepianie i tak ślicznie, jak teraz, grał, niż chodził na te zebrania, gdzie żandarmerja może wkroczyć i wszystkich obecnych aresztować.

A melodia kołysze do marzenia... Zastłuchała się Mira: sama również grywa, ale tej melodji nie zna, jakaż ona cudowna.

Jeszcze jeden akord i fortepian ucichł.

— Jaki to był utwór? — pyta Mira.

— Podobał się pani?

— Prześliczny, ale nigdy go nie słyszałam.

— Nie mogła pani słyszeć, gdyż to jest mój utwór.

— Naprawdę? — i pełne podziwu są dziewczęce oczy.

— Tworząc tę melodje, myślałem o pani... — Mówiąc to, Aleksander wstaje od fortepianu, zbliża się do narzeczonej i klęka u jej nóg.

— Dziewczyno ukochana! Tyś uosobieniem miłości, tęsknotą życia mego całego.

— Kocha mnie pan, bardzo kocha?
— Bez ciebie żyłbym nie mógł, Ty — wiosno najpiękniejsza...

I przytula do ust złote warkocze dziewczęcia.

— Powiedz Miro, czy kochasz mnie?

Orzechowe oczy już nie patrzą figlarnie — poważne są, miłością przeświecone.

— Kocham — mówią różowe usta.

— Promyku mój jasny... bajko złotowłosa, w rozmodleniu szepczą wargi mężczyzny.

A Mira w tej chwili myśli: co mu droższe? ja i moja miłość, czy ta dziwna partja?

I zdaje się dziewczynie, że jednak pomimo wielkiej miłości, jaką ma dla niej narzeczony, przynajmniej połowa jego serca należy do partji. I świetliste oczy Miry poważnieją, a potem stają się smutne, bardzo smutne.

R O Z D Z I A Ł Ó S M Y

Drobny nieustanny śnieg padał od rana i o tej późnej, wieczornej godzinie Kijów tonął w białej szacie.

W stronę ulicy Włodzimierskiej szła Mira z Aleksandrem.

— Czemuś taka milcząca?

— Za dużo mnie spotkało wrażeń — odparła Mira, kręcąc złotowłosą główką — długo będę myślała o dzisiejszym wieczorze.

— Chciałbym, aby moja idea była ci bliska.

Nie odpowiedziała. Myślała właśnie nad tem, że trudno się pogodzić z tem, aby ci wszyscy ludzie, jakich przed chwilą widziała, mieli te same prawa i przywileje, co ona.

Więc prosta dziewczyna, otulona w chustkę, powinna siedzieć obok niej? A naprzykład Strumiłów, jej ukochany Strumiłów, ma być własnością narówni ciemnych, głupich chłopów, jak i jej ojca? Nie, to stanowczo nie odpowiadało złotowłosej panience.

Przystanęli na rogu Kreszczatiku¹⁸.

— Tu się pożegnamy — rzekł Aleksander — idź do domu sama; kochanie, tak będzie bezpieczniej.

Ucałował małą rączkę i skręcił w boczną ulicę. Mira chwilę patrzyła za nim, westchnęła, a potem szybko zaczęła iść oświetlonym Kreszczatikiem.

Nie, stanowczo to wszystko było jej obce. Ci ludzie w robotniczych bluzach, z nienawiścią w zapadłych oczach. I ten ich śpiew: „Lecz kiedy wybije godzina powstania, magnatom lud ucztę zgotuje, muzykę piekielną zaprosi do grania, a szlachta niech wtedy tańczy“.

Wzdrygnęła się Mira.

— A szlachta niech wtedy tańczy, — szepnęła cicho.

Szlachta. A więc jej ojciec, jej rodzina, jej sfera, ona! Czy to tak powinno być? Czyż oni zrobili co złego? A narzeczony, tak kocha swą ideę, duszę całą partji oddaje.

„Wolność, równość i niepodległość“.

Niepodległość.

Kocha ojczyznę i na wspomnieniach o powstaniu 1831 i 1863 roku wyrosła.

Dziad, do tacek łańcuchami przykuty, hen gdzieś daleko, w kopalniach nerczyńskich.

Nienawidziła Moskali. Oni skonfiskowali rozległe dobra strumiłowskie, pozostawiając jedynie małą część, oni prześladowali unitów, a przecież rodzina Strumińskich unicką była! Jeszcze teraz w Strumiłowie jest mała, opuszczona kapliczka unicka — obok niej stare groby Strumińskich. A ojciec do tej pory opłaca odnośną władzę, aby Strumińskich nie zapisano jako prawosławnych.

W literaturze polskiej się rozczytywała, Mickiewicza kochała, marzyła o niepodległości Polski, ale równość? Dlaczego miałaby być równość?

A jeżeli mają dojść do władzy ci ludzie ciemni, nieokrzesani, bez nauki, to czy się nie powtórzy krwawy Szela? Czy nie zaczną płonąć pałace i dwory?!

!I nic nie zostanie prócz zgłiszcz? Bo czyż nie zrozumieją, że jeżeli mają władzę, to znaczy wolno rabować i zabijać? Cóż wie głupi, ciemny chłop!

„Panami wtedy będziem my...“ Wspomnienie tych słów, niby kamieniami uderza w Mirę.

Panami — chłopstwo?! To straszne, o tak straszne! Przewodzić będzie wszędzie brudny robotnik i chłop?! Czyż nie zechcą umazać szlachecką krwią swych rąk? I zginie wszystko, co jest kulturą. Zapamiętuje Wielki Chan. Tradycja pokoleń szlacheckich odezwała się w tem ziemiańskim dziecku. Nie, nie chce! Nie pójdzie z nimi, nie potrafi niszczyć tego, w czem wzrosła, co nauczono ją kochać i czcić.

li, znienawidzonych Moskali! Razem z nimi iść i walczyć, razem z tymi odwiecznymi wrogami?

— Gdy carat upadnie — dopiero może być Polska, a oni walczą z caratem — zajaśniały nagle w pamięci słowa narzeczonego. No tak, może ma słuszność, ale ona nie wierzy, by Moskale dali wolność Polsce. Oni, ci, którzy w kajdany zakuli wolny naród, zgodziliby się na powrót majestatu Rzeczypospolitej? Mało: zgodzili, pomagiliby do tego? W główce złotwłosej to się pomieścić nie mogło.

— Za naszą i waszą wolność. — Znów błysnęły słowa narzeczonego.

Niech Aleksander porzuci partję, niech żyje tylko dla niej! Ale czy porzuci? Tego nie była pewna, a raczej przeciwnie: czuje to, wie, że on swej partji nie zdradzi nigdy.

Znowu nadeszło lato i w pierwszych dniach czerwca, jak zwykle, Mira wyjechała na wakacje. Jeszcze rok pozostawał jej do ukończenia gimnazjum. To ją bardzo cieszyło. Atmosfera gimnazjalna dla każdej Polki była przykra. Chociaż nie lubiła wracać do nauk, teraz to ją nie smuciło, gdyż w Kijowie czekał narzeczoney.

Któregoś dnia, wracając z gimnazjum, miała właśnie przejść przez jezdnię, gdy przejeżdżał powóz generał-gubernatora. Oparty o miękkie poduszki pojazdu, w jasnym płaszczu, z szerokiemi złotemi szlifami, jechał władca trzech gubernij.

Mira sądziła, że zdąży jeszcze przebiec przez jezdnię. Zrobiła parę kroków i nagle ujrzała nad sobą łby końskie.

W ostatniej chwili stangret silną ręką powstrzymał konie.

Gubernator wychylił się z powozu:

— *Czto słucziłoś?* ¹⁹

— *Czui' baryszni nie perejechali* ²⁰! — odpowiedział stangret.

Z pod daszka wojskowej czapki spójrzały szmaragdowe oczy na drobną postać dziewczęcą.

W bladej twarzyczce błyszcząły świetliste, przerażone oczy. Niby dwa złote bicze jaśniały na brązowym mundurku warkocze.

Na widok tej slicznej dziewczyny gubernator wysiadł z powozu i zbliżył się do niej:

— *Mademoiselle, wieroijatno wy ispugaliś, chotia ja nie winowat* ²¹.

— *Niet, niet,* — odparła, siląc się na spokój, chociaż serce nie przestało bić mocno od tej chwili, gdy przyszedł błysk zrozumienia, że może być strатовana przez kopyta końskie.

— *Jesli razrieszitie, zawiezu was damoj* ²².

Chociaż to nie wypadło, ale... Mira znalazła się w powozie generalskim. Pomknęły rysaki. Krótka trwała ta wspólna przejażdżka, lecz blada twarzyczka i niby słońcem prześwietlone orzechowe oczy głęboko się wryły w pamięć generał-gubernatora.

Gdy szła po schodach do mieszkania, w uszach Miry brzmiały ostatnie jego słowa:

— Gdy będę Pani w czem potrzebny, stanę Jej zawsze z pomocą.

Z pomocą? Pocóż jej pomoc gubernatora? Ale ładnie postąpił, ładnie — myśli Mira, gdy dzwoni do drzwi mieszkania.

R O Z D Z I A Ł D Z I E W I A T Y

Lagodne światło dużej lampy naftowej zalewało salon. Na kanapce siedzi Mira, obok niej Aleksander. Od dłuższej chwili patrzy na narzeczoną: jaką ma poważną twarzyczkę, a w oczach coraz rzadziej widuje błyski figlarne. Zmieniła się bardzo w ostatnich czasach. Często się zamyśla i teraz, zamiast jak dawniej szczebiotać o czemkolwiek wesoło, siedzi milcząca a oczy ma takie poważne. Kocha ją, kocha bezgranicznie, tę młodziutką, bladą panienkę. Pochyliła się ku niej i bierze jej drobną rękę w dłoń:

— Czemuś taka smutna i milcząca? — zapytuje, patrząc tkliwie w orzechowe oczy.

Mira nie odrazu odpowiada — dopiero po dłuższej chwili, jakby z namysłem, odzywa się:

— Chciałabym z tobą poważnie pomówić.

— Ależ słucham cię, kochanie.

Najpierw z wahaniem, potem z coraz większym ożywieniem mówi zaczęła:

— Nurtuje we mnie ciągle jedna myśl, że ty cel swój widzisz tylko w partji, a ja... ja chciałabym mieć cię tylko dla siebie. Twoje idee obce mi są; bo pomyśl, ty głosisz hasło „wszyscy są równi“, więc chcesz, by ojciec mój, z dziada pradziada ziemianin, oddał tę swoją ukochaną ziemię chłopom? Nie uznajesz tradycji, a mnie w tradycjach wykołysał stary kresowy dwór. Małeńkiem dzieckiem jeszcze byłam, gdy wiedziałam, że ten wielmoża w kontuszu, z karabelą przy boku, patrzący na mnie ze szerniałego portretu, to staroście kijowski — mój pradziad! a pani, w szerokim robronie, z kunsztownie utrefionemi lokami, wy-

chylająca się z ciemnych ram portretu — to prababka kasztelanowa. Chcesz bym o tem wszystkiem zapomniiała? Bym wyrzuciła z serca to, co do tej pory ukochaniem mi było? Nie mogę serdecznie uściskać dłoni robotnika, nie dlatego, że jest spracowana, ale dlatego, że brudna. Brzydzę się tego! Tych bluz robotniczych, podartych sukien nędzarzy. Współczuję im, chętnie pomogę, ale kochać — nie, nie mogę kochać tych ludzi! Twoja partja ma piękne idee, ale obce dla mnie. Pomyśl sam: gdy dojdą do władzy tacy ciemni, prości ludzie, czyż wszystko nie runie, co jest kulturą i tradycją? A ja kocham to, z czem wy walczyacie. I twoja partja jest nie do przebycia przepaścią, która nas dzieli. Długo myślałam o tych rzeczach i przyszłam właśnie do tego przekonania.

— Więc co chcesz, bym uczynił?

— Rzuć partję, żyj tylko dla mnie.

Co czynić? Bez tej panienki życie było takie szare i nic nie znaczące. Więc przy niej pozostać, ale wtedy trzeba poświęcić całą swą dotychczasową pracę. Zapomnieć o idei, zdradzić towarzyszków. Tak, bo to byłoby zdradą! Odejść od nich, gdy każdy człowiek tyle znaczy! On — przywódca, bo przecież on stworzył w Kijowie Polską Partję Socjalistyczną. I on miałby się wycofać? A cóż wtedy powiedzą ci, którym zawsze mówił:

— Trzeba wytrwać, wbrew wszystkim i wszystkiemu wytrwać!

Tam, u niego w mieszkaniu, czekają broszurki, które rozdać należy, broszurki niosące wolne słowo polskie. Ukochane broszurki „Robotnika“. Wycofać się, rzucić to wszystko — nie, nie ma na to prawa.

— Wiesz, że cię kocham. Ty jedna, jedyna obudziłaś moje serce, ale... głos mimo wysiłku zadrżał, ale partji rzucić nie mogę.

— Więc mnie nie kochasz!

— Kocham cię, ale nie żądam tak wielkiej ofiary.

— Nic nie żądam, daję tylko do wyboru: partja lub ja.

Gorzki uśmiech wykrzywił usta Aleksandra.

— To ty mnie nie kochasz! Gdybyś miała uczucie dla mnie, nie stawiałabyś takiego warunku.

— A więc nie chcę od ciebie żadnej ofiary! Idź, walcz, pracuj dla swej partji, ja cię nie wstrzymuję, nie bronię, ale między nami uważam wszystko za skończone.

— Miro, jakaś ty okrutna!

— To nie ja, to ty! Myślałam, że mię naprawdę kochasz. A to wszystko kłamstwem było. Nie chcę, żebyś coś mówił — zawołała, widząc, że Aleksander chciał przeczyć — i nie zobaczysz mnie już więcej.

Wybiegła z pokoju, tłumiąc łkanie, a Aleksander stał nieruchomo na środku salonu i patrzył na drzwi, za którymi zniknęła. Odeszła i nie wróci. Bajka o miłości się skończyła.

Jak automat, poszedł do przedpokoju, ubrał się i wyszedł na ulicę.

Szedł powoli, z opuszczoną głową, z jedną upartą myślą: „Nie zobaczę jej już więcej“.

Kiedy się znalazł w swem mieszkaniu, nie wiedział.

Usiadł przed palącym się w gabinecie kominkiem. O niczem innem nie myślał, tylko to jedno: już jej nie zobaczy.

Ostry dźwięk dzwonka przeszył ciszę mieszkania.

Gdy otworzył drzwi, zobaczył jednego z towarzyszy partyjnych.

— Proszę, wejdźcie. Co zaszło, że przychodzicie?

— Mamy wiadomość, towarzyszu, że w tych dniach ma być u was rewizja, przyszedłem zabrać broszurki.

— Nie trzeba, zostaną u mnie.

— Ależ towarzyszu! Na wypadek rewizji...

— Wiem, co robię — przerwał Aleksander — powiedziałem już: broszury zostaną u mnie. Idźcie, ja... muszę być sam.

I znowu cisza. Sam jest, sam tak, jak chciał tego. Powoli płynęły godziny, a on siedział nieruchomo, wciąż z tą samą myślą: już jej nie zobaczy.

Zbliżała się pierwsza po północy, gdy usłyszał donośny dzwonek. Ocknął się z zadumy. Tak był zaabsorbowany jedną myślą, że nie od razu się zorientował. Chwilę nadśluchiwał, jakby nie wierząc swym uszom. Po raz drugi zabrzmiał dzwonek.

Gdy znalazł się u drzwi frontowych, zapytał:

— Kto tam?

— *Imieniem zakona proszu odkryt' dwieri* ²³.

A więc rewizja.

Spokojnie otworzył drzwi.

Butnie, z podniesionymi głowami weszła żandarmerja.

— *Wy Szimańskij?* ²⁴.

— Ja, — krótko brzmiała odpowiedź.

Przystąpiono do rewizji.

Szyderczy uśmiech wykrzywił usta żandarma, gdy znalazły się w jego ręku broszury „Robotnika“.

— *Wy arestowany* ²⁵, — rzekł, patrząc zwycięsko

Przed oczyma Aleksandra zarysowały się mury 45
więzienne, cela, długie badania.

— Jestem gotów, rzekł po polsku, patrząc spokojnie w oczy żandarma.

R O Z D Z I A Ł D Z I E S I Ą T Y

— Szymański tej nocy został aresztowany, mówi Sabina Zawadzka, wolno skandując wyrazy, stojąc w salonie Strumińskich naprzeciwko Miry. — Aresztowany — powtarza raz jeszcze — to wszystko stało się przez panią! — dodaje z błyskiem nienawiści w oczach.

— Aresztowany i przeze mnie? — szepczą pobladłe usta Miry.

— Tak, przez panią! Przestał być ostrożny — nie myślał o ciągłym niebezpieczeństwie, jakie mu groziło. Widział tylko panią. Zginął przez tę przeklętą miłość!

Orzechowe oczy ciemnieją od gniewu:

— Proszę tego nie mówić. Nie poczuwam się do żadnej winy. A wczoraj z nim zerwałam.

— Wczoraj? Już teraz wszystko rozumiem. Musiał szalenie rozpaczać i dlatego nie chciał oddać broszur przybyłemu po nie towarzyszowi. Gdy stracił panią, było już mu obojętne, co się z nim stanie. Przez panią, przez panią zginął!

— Jest w więzieniu? — pyta Mira.

— A gdzież może być?

Tak, słusznie, śmieszne zadała pytanie, ale nie może myśleć logicznie. Ta wieść i te zarzuty tak strasznie bołą.

— Proszę go ratować, — słyszy głos Sabiny.

— Jakże go mogę ratować? — szepcze bezradnie, a łyzy tak pieką pod powiekami, tak pieką.

— Więc proszę chociaż pójść do niego, starać się go zobaczyć, podtrzymać go duchowo.

— Dobrze, pójdę — mówi Mira — pójdę, powtórza bezmyślnie.

Gdy Sabina wyszła, łyzy już niczem niewstrzymane zaczęły się staczać po bladej twarzyczce i spływać na brązowy gimnazjalny mundurek.

Ratować go, ratować... lecz jak? Cóż ona zrobić może? Pójdzie do więzienia, zobaczy go i cóż? Co dalej?

— Aresztowany, aresztowany przez panią. — Jakże boli ten zarzut.

A może, może Sabina miała słuszność?

Ratować go, ratować...

— Jak, jak go ratować? — Wybiegły z rozpaczą te słowa z ust Miry.

I nagle... olśnienie...

Zamajaczyła twarz o ostrym profilu, szmaragdowe oczy patrzą z pod daszka generalskiej czapki.

— Gdy będę pani w czym potrzebny, zawsze stanę z pomocą, — mówią usta, ciemnym ocienione wąsem.

Generał-gubernator — największa w Kijowie władza!

Zrozumiała, co ma uczynić.

Ale jak się tam dostanie? Nikogo wtajemniczać nie może, więc jak? Ach prawda! Wszak żegnając się,

prosił o jej nazwisko, a ona... tak, tak, powiedziała. 47
Oświadczył na to, że jeżeli będzie jego osoba jej potrzebna, to w gubernatorskiej kancelarji wystarczy, by powiedziała swe nazwisko, a natychmiast zostanie przyjęta.

Prędko otarła łzy, włożyła na złotą główkę czapkę, otuliła się w płaszczyk i, nic nie mówiąc, gdzie idzie, opuściła dom. Znalazłszy się na ulicy, zaczęła iść szybko w stronę, gdzie się znajdował pałac generał-gubernatora.

Po jednej stronie mahoniowego biurka mężczyzna w sile wieku, w mundurze kapiącym od złota, rozparty w skórzanym fotelu. Po drugiej stronie — drobna postać dziewczęcia, ze złotemi warkoczami, spadającymi na gimnazjalny mundurek.

Patrzy na siebie tych dwoje.

Szmaragdowe oczy z jakąś tajoną myślą, orzechowe — z determinacją.

— Więc narzeczony pani został aresztowany. Chcesz, piękna Polko, bym ci pomógł, — zaczął mówić po dłuższej chwili milczenia gubernator, wpierv wysłuchawszy opowiadania Miry. — No tak, pomóc, pomogę, ale... nic się nie robi za darmo. Czy pani wie, żeś mnie zainteresowała tak dalece, że wszystko wiem, co się jej tyczy? Wiem na przykład — mówił, patrząc uważnie w bladą twarzyczkę i obserwując jakie wrażenie jego słowa robią — wiem, że Strumińscy to unici.

Błysk przerażenia odbił się w orzechowych oczach. Uśmiechnęły się usta gubernatora:

— Cóż? mam słuszność, nieprawdaż? A czy wie pani, że moje jedno słowo i ojciec jej wraz z rodziną zostanie przepisany na prawosławie?

Och! wiedziała o tem, wiedziała aż nadto dobrze.

— Czy chce mnie pan zgubić? — zapytała, patrząc śmiało w oczy gubernatora.

Poruszył przecząco głową.

— Nie, chcę pomóc pani, tyllko ot tak się zgadało i powiedziałem o tych wieściach, jakie doszły do mnie. A więc teraz do rzeczy. Chce pani, by narzeczony jej został zwolniony, tak? — A na pofakujący ruch złotej główki mówił dalej: — Można urządzić mu ucieczkę. Dam pani dla niego paszport zagraniczny i pieniądze. Wręczy mu to pani w więzieniu. Oczywiście, nie w zwykłych godzinach, gdy można więźniów odwiedzać, lecz wieczorem. Po wyjściu pani będzie urządzona ucieczka dla jej narzeczonego, pod przykrywką przewiezienia go w inne miejsce. Na drugi dzień wszyscy się dowiedzą o ucieczce więźnia, ale on powinien już być wówczas na granicy. Oto mój plan, który — zareczam — będzie miał dobry wynik. Ale, powtarzam, nic się nie robi za darmo.

Przecucie czegoś złego, czającego się w szmaragdowych oczach, targnęło sercem Miry. Z tych oczu szło ku niej niebezpieczeństwo.

— Chciałem jeszcze dodać, że wiem o uczęszczaniu pani na socjalistyczne zebrania — to wystarcza, aby zostać aresztowaną.

— Więc proszę kazać mnie aresztować — zawołała, już nie panując nad sobą.

— Za piękna na to, by ginąć w więzieniu... za piękna, szkoda tych oczu jak gwiazdy i tych warłoczy królewskich.

— Panie gubernatorze, więc czego pan chce?

— Tego, by pani była czynnym członkiem partji

socialistycznej, a jednocześnie agentką żandarmerji. 49
Rozumie mnie pani?

Gdzieś, z głębi piersi, chciał się wyrwać jakiś krzyk, lecz zamarł na rozchyłonych ustach, krzyk bólu i protestu sponiewieranego honoru.

— Za cenę wolności narzeczonego — mówił dalej wolno gubernator — z tem zastrzeżeniem, że z nim pani nie ucieknie, że więcej już go widzieć nie będzie — poza tem jednym widzeniem się w więzieniu celem od-dana mu paszportu; za tę cenę musisz wskazywać żandarmerji członków waszej Polskiej Partji Socjalistycznej.

Ach, uderzyć w twarz tego hardego Moskala, uderzyć w twarz!

Ona — wnuczka starościców i kasztelanów, ma zostać szpiegiem?! Wydawać w ręce wroga tych, którzy walczą o Wolność?!

— Nie! — krzyknęła niemal, patrząc z nienawiścią w twarz gubernatora. — Nie, nigdy! wolę, by mnie pan kazał aresztować. Pójdę na Sybir z narzeczoną, pójdę, jak wielu Polaków poszło. Zginę, ale do was na służbę nie pójdę! — Zerwała się z krzesła i biegła do drzwi.

— Jeżeli pani stąd wyjdzie, aresztuję całą jej rodzinę. Zostaniecie wpisani jako prawosławni, a potem na Sybir wszyscy.

Ręka Miry, dotykająca już klamki u drzwi, opadła.

Na Sybir wszyscy. Więc Strumińscy prawosławni będą. Nanic lata udreki dziada i ojca. Nanic tysiące, które tonęły w przepastnych kieszeniach od policmajstrów począwszy, na wyższych urzędnikach skończywszy. Drogo to kosztowało Strumińów; ale ziemia przod-

ków ocalała, ale nie zapisali na prawosławje. A teraz nanie wszystko. Pójdzie na Syberję ojciec, a Strumiłów przejdzie na własność w moskiewskie ręce. Strumiłów, ziemia jej pradziadów. A toż dziad, umierając, synowi jak modlitwę te słowa przekazał: „Trzymaj polską ziemię“.

I daremne ofiary, daremne znowu ofiary, jak w 1863 roku. Zginie narzeczony, zginie ojciec, rodzina, Strumiłów — zginie wszystko w walce beznadziejnej. Bo jakaż ta walka inna być może? Z jednej strony — potęga caratu, wojsko, broń, z drugiej — garstka szaleńców. Więc wszystko zginie, wszystko.

— Za cenę zostania agentką żandarmerji. Wolność narzeczonego i moje wieczne milczenie, żeście unici. W przeciwnym razie...

Więc ma możliwość uratowania Aleksandra, ojca, Strumiłowa. A potem można przecież do Dniepru skoczyć — Bóg za to nie potępi, przyjmie jej ofiarę. Życiem swem zapłaci za wolność najbliższych. Tak, zgodzi się, a potem, gdy już Aleksander wolny będzie, ucieknie od pracy hańbiącej, skryje się na dnje rzeki.

— Panie gubernatorze, — mówi, a głos już nie drży, tylko twarzyczka taka blada, jakby kropli krwi w niej nie było: — Panie gubernatorze, przyjmuję pana warunek. Ale wpierw muszę się dowiedzieć, że Aleksander Szymański wolny i nic mu już nie grozi. Wtedy zostanę agentką, jeżeli żyć będę. Wszak wszyscy jesteśmy śmiertelni. Wpierw nie! Bo ja wam, Moskale, nie wierzę.

— Daję słowo honoru, że narzeczony pani będzie wolny. Jutro proszę przyjść o tej samej porze do mnie.

50 Dam potrzebne papiery i wskazówki.

Nazajutrz, z gazet dowie się pani, że Szymański 51
uciekł. A wtedy ja na nią tu czekam. Ale—oczy szma-
ragdowe błysnęły złowrogo — popamięta mnie pani,
jeśli oszuka i nie przyjdzie.

Pogarda zajaśniała w oczach Miry.

— Przyjdę, bo dałam na to słowo.

R O Z D Z I A Ł J E D E N A S T Y

Wtulona w kąć gubernatorskiego powozu, jechała Mira w stronę więzienia. Do piersi tuliła pakiecik, droższy jej nad życie. Ten mały pakiecik — to była wolność Aleksandra. Przed chwilą wręczył jej gubernator paszport i duży plik banknotów, jednocześnie dał małą kartkę ze swoim podpisem. Na widok tej kartki miały się otworzyć przed Mirą wrota więzienne, o nieprzepisanej, późnej porze wieczornej.

Brzmią w uszach Miry słowa gubernatora: — O siódmej wieczór pojedzie pani do więzienia. Proszę pokazać tę kartkę — na jej widok wprowadzą do rozmównicy Szymańskiego i zostawią panią z nim samą. Taki otrzymali już rozkaz. Wtedy wręczy mu pani dokument, a nazajutrz.

Nazajutrz... Mira wie, że jutro czeka ją śmierć. Pójdzie wieczorem do gubernatora, pójdzie, bo dała na to słowo. Ale potem, do domu już nie wróci. Dniepr da jej przytułek. Tak, ale teraz trzeba jeszcze żyć i działać. Jakże długo trwa ta jazda, ale prawda, więzienie jest za miastem; dlatego właśnie jedzie tym generalskim pojazdem, ciągniętym przez śmigłe rysaki.

Świst wiatru i deszczu, bijącego o budę powozu, wydaje się Mirze jakąś muzyką potępieńczą. I niewiadomo dlaczego, nasuwa się przypomnienie pewnej melodji, granej przez Aleksandra. Tam były też takie tony, jakby wiatr jęczał i płakał. Aleksander — teraz dopiero rozumie, jak bardzo go kocha, ale już na wszystko za późno. Zobaczy go raz jeszcze i koniec, tak, koniec.

— Nie kochasz mnie. — To były jedne z ostatnich jego słów. — Nie kochasz.

Coś nakształt uśmiechu przesuwa się po ustach Miry.

Nie dowie się, jak bardzo go kochała, i nie dowie się nigdy, jaką czyni teraz z siebie ofiarę. Ona — ta, o której mówił, że dlatego nie chce być w partji, gdyż nie jest zdolna do ofiar.

Tak — nie jest zdolna i właśnie dlatego składa na ołtarzu ofiarnym swe życie, by ratować tych, którzy na Sybir są skazani. Uśmiechają się smutnie blade usteczka.

Zatrzymał się powóz — Mira wychyliła się z budy.

— Dlaczego nie jedziemy dalej? — zapytuje stan-greta.

— Bo już jesteśmy na miejscu, — słyszy odpowiedź.

Wyskoczyła z powozu — przed nią widniały mury więzienia.

Boże, jaki strasznie blade — i te oczy, jak w gorączce świecące.

— Mira, — szept z ust więźnia.

Mira — to jedno, jedyne słowo.

Są sami w rozmównicy, sami — jest tak, jak powiedział gubernator. 53

W gardle coś dławi, tak trudno mówić — tak trudno. A czasu mało — zaledwie dziesięć minut.

— Aleksandrze, będziesz wolny. Urządzą dla ciebie dzisiejszej nocy ucieczkę. Bierz, oto paszport zagraniczny i pieniądze. — Podaje mu pakiecik.

Przeczący, spokojny ruch głowy Szymańskiego.

— Nie, nie będę uciekał.

— Jakto?!

— Ucieknę tylko wtedy, jeżeli weźmiesz ze mną ślub w więzieniu.

Złota główka opada na piersi, wie, że to, czego chce, jest niewykonalne.

— Ale ty tego nie zrobisz — ciągnie Szymański dalej — wiem, że nie zrobisz, bo mnie nie kochasz, nie kochasz.

Podnosi na niego błagalne oczy.

— Słuchaj, uciekaj... spełnij moją prośbę, uciekaj... Tam, zagranicą, będziesz nadal żył dla swej idei.

— Miro... Jam się przekonał, że bez ciebie niema życia, Miro — miłości moja!

A ona myśli z przerażeniem, że czas mija, prędko mija — już słyhać ciężkie kroki na korytarzu więziennym: to znak, że idą tutaj, że już koniec widzenia.

— Błagam cię, uciekaj!

Chce mu wcisnąć pakiecik, lecz Aleksander cofa rękę.

— Przrzeknij, że zostaniesz moją żoną, Miro — ukochanie!

Męka widnieje w orzechowych oczach. — Nie, nie

zostanę twoją żoną nigdy, — mówi z rozpaczą w głosie.

Lecz on tej rozpacz nie widzi, nie słyszy. On rozumie tylko słowa, słowa, które zabijają mu serce.

— A więc uciekać nie będę — pójdę na Sybir.

— Aleksandrze, — krzyk zranionej duszy.

— To moje ostatnie słowo. Żegnaj uśmiechu mego życia, żegnaj nad wszystko kochana.

I znowu mkną rysaki. A w powozie Mira tak samo przyciska do piersi pakiecik.

Nie przyjął... nie przyjął... Idzie na Sybir. Zdaje się Mirze, że już go widzi, jak z innymi zesłańcami idzie po śniegu głębokim, hen drogą męczenników polskich. Dźwięczą kajdany...

Lzy spływają po bladej twarzyczce, te łzy, którym płynąć nie pozwoliła w murach więzienia.

Jedzie, jedzie zpowrotem do pałacu gubernatora blada smutna paniątka.

Z zakrzepniętymi w oczach łzami staje Mira przed gubernatorem.

— Szymański nie przyjął propozycji ucieczki, — mówi jakimś głuchym, nie swoim głosem.

— Nie przyjął? — Zdumienie zabłysło w szmaragdowych oczach.

— Tak, nie przyjął — powtarza wolno Mira.

Milczenie.

Orzechowe oczy, błyszczące po niedawnych łzach, patrzą w twarz gubernatora:

— Panie generale, sędzę, że jestem wolna. Teraz, gdy Szymański odrzucił myśl o ucieczce, nasza umowa

szę — mówi, kładąc pakiecik na biurku — mogę już odejść, prawda? 55

Gubernator patrzy długo na białą jak śnieg twarzyczkę o gwiazdzistych oczach. Lśni złotem najczystszych warkocze.

— Odchodzę, panie generale. Sądzę, że mnie pan nie zatrzyma, wszak i Moskale mają honor.

Co? Co powiedziała ta blada poważna panienka? Mają honor.

— Jest pani wolna — padają słowa z ust ocienionych ciemnym wąsem — i proszę być spokojną o ojca i rodzinę. Nikt nigdy nie dowie się ode mnie, żeście unicy. I ja prześladować was nie będę. Bo masz słusność, dumna śliczna Polko: i Moskale mają honor.

Pochylił się w niskim ukłonie przed dziewczyną, błysnęły złote szlify, zamigotały brylantami najwyższe carskie ordery.

— Żegnaj, piękna Polko.

Po raz drugi tego wieczora usłyszała Mira słowo: „Żegnaj“.

Płyną dni... Jedne do drugich podobne płyną dni... Miał sen o miłości... Bajka świetlana się rozświetla... Zły czarodziej Los odebrał wszystko złotowłosej królowi. Patrzą w dal orzechowe oczy... czekają, że powróci bajka. Nie wróci już, królowi. Bajka twoja w pustyni sybervjskiej śniegiem zasypała. Ten, który ci o miłości mówił, daleko. Może nie żyje już, może nie zniósł ciężkiej, jak gehenna drogi? A ty, królowi złotowłosa, po parku chodzisz... szumią nad twoją główką stuletnie kasztany. Te same kasztany szumiały ci kołysankę, gdyś malutkiem dzieciątkiem spała pod ich opiekuńczymi konarami.

Nie słuchasz ich szmeru, bo smutne oczy powrotu bajki wypatrują, bo serce czeka... nadaremno. Nie wróci, już nic nie wróci.

I smutna królowna do dworu wraca, przy fortepianie siada. Płyną cudne tony... Płyną te same melodje, które on grał, on — pierwsza i ostatnia miłość... Skarżą się i płaczą klawisze...

A ze ścian patrzą pradziadów twarze surowe, patrzą na bladą smutną, ze złotymi jak słońce włosami, wnuczkę. Patrzą na grającą twarze poważne wielmożów, ze zczerniałych wychylają się ram.

— Czemu ty, Miro, tylko smutne melodje grasz?

Drgnęła — obok fortepianu stał pan Władysław Strumiński i z niezadowolaniem patrzył na córkę.

— Nigdy nie usłyszę nic wesołego, ciągle te beznaście smutne melodje.

— Nie wiedziałam, że ojciec będzie słuchał. Myślałam, że jestem sama.

— Sama, sama! — ofuknął pan Władysław i szarpnął siwego szlacheckiego wąsa — a czemubys dla siebie nie mogła czego wesołego grać?

Nieruchomo leżą dłonie Miry na klawiszach.

— Nie mogę nic wesołego grać, ojcze.

Pan Władysław kładzie rękę na złotej główce córki.

— Co ci jest dziecko? Ty cierpisz — widzę to. Ukrywasz coś przede mną. A sercu czasem lżej, gdy się wyżalić może.

Mira milczy — co ma mówić? Wszak całej prawdy powiedzieć nie może. Nie trzeba, by ojciec wie-

56 dział, że Sybir mu groził — nie trzeba.

— Rozpaczasz po narzeczonym, czy tak? Ale przecież sama zerwałaś, potem — zdaje się — nastąpiło jego aresztowanie. Nigdybym nie przypuszczał, że on był socjalistą, nigdy! Rozumiem, że ci żal, rozumiem. Ale wszak nie mogłaś go bardzo kochać, jeżeli zerwałaś, i właściwie nie wiemy, dlaczego.

Nie wiedzą i wiedzieć nie będą — myśli Mira — wszystko pozostanie tylko jej tajemnicą: i dlaczego zerwała i całe to straszne, koszmarne przejście z gubernatorem. Nic, nic nie powie.

— Nie chcesz rozmawiać córko, nie chcesz? Ech, schowaj te fochy i zagraj coś wesołego, Miro.

Spojrzał w twarz córki i zamilkł.

Z orzechowych oczu spływały niby duże perły łzy.

Pan Władysław Strumiński pochmurny chodzi. Wąsa sarmackiego targa, czoło marszczy, każdego ofuknie. Widać, że jakaś troska serdeczna zrobiła go takim. Bo i nie dziwić się — córka z każdym dniem bledsza, nic ją nie obchodzi, nawet do ukochanych koni nie zaglądnie. Przy fortepianie tylko siedzi, smutne melodie gra a ilekroć sądzi, że nikt jej nie widzi — płacze. Długo rozmyślał pan Władysław, wreszcie postanowił: trzeba, żeby Mira bywać zaczęła. Młodzieży wokół dużo, znajdzie się taki, który w złotej główce zakreści, a wtedy niepotrzebne myśli, co męczą to młode stworzenie, odlecą precz.

Któregoś wieczora Mira usłyszała z ust ojca:

— Siedzisz już pół roku w Strumiłowie i uważam, że źle ci to robi pewnie dlatego, że rozrywki żadnej nie masz. Ale ja to zmienię. Postanowiłem, że zaczniemy bywać. Jutro zaczynamy objazd, jedziemy do

Gryf - Borzęckich; rodzina dobra, stara, szlachecka — jest tam miła panna i dwóch wcale udatnych synów. No cóż Miro, zgoda?

Spojrzała na ojca bezbrzeźnie smutnymi oczami.

— Pojadę, jak ojciec każe.

— Mówisz: jak każe! Ale nie cieszysz się?

— Mnie już nic ucieszyć nie może, — szepnęła cicho. Lecz pan Władysław usłyszał i zmarszczka pogłębiła się na jego czole, a ręka targnęła nerwowo sięwego wąsa.

R O Z D Z I A Ł D W U N A S T Y

Rozległe lasy lubelskie. Drzewa majową zielenią otulone, a pod jednym ze starych drzew — towarzysz Wiktor. Patrzą wdał szare smutne oczy.

Niby w kalejdoskopie przesuwiają się obrazy minionych dni.

Symulacja obłędu. Szpital świętego Mikołaja w Petersburgu. A potem, ta noc trzynastego maja 1901 roku. To przecież było tak niedawno, zaledwie tygodnie od tej chwili go dzielą.

Ten dyżur, ostatni dyżur w szpitalu doktora Władysława Mazurkiewicza!

Gdy szedł na wezwanie lekarza do jego gabinetu, nie wiedział, że oto za chwilę będzie wolny.

Tak spokojnie wyszedł towarzysz Wiktor wraz z doktorem na ulicę, nikt nie przypuszczał w tym eleganckim panu uciekającego więźnia.

W mieszkaniu Czarneckiego towarzysz Wiktor 59
uściskał serdecznie rękę Aleksandra Sulikiewicza.

I tej samej nocy wraz z nim wyjechał do Rewla, a potem przez Rygę do Kijowa.

Kijów — ognisko socjalistycznego ruchu na kre-
sach — Kijów ten zawiódł nadzieje towarzysza Wik-
tora.

Po aresztowaniu Aleksandra Szymańskiego Partja
Socjalistyczna rozpadła się w Kijowie. Jedyne wycho-
dził jeszcze „Robotnik“ pod redakcją Feliksa Perla.
Nie było już tu co robić, a listy gończe za politycznym
przestępcą Józefem Piłsudskim, rozesłane po całej Ro-
sji, nie dawały spokoju towarzyszowi Wiktorowi.

Nie miał już gdzie na sen złożyć głowy. Prześlado-
wany, szczuty jak pies, uciekając z miejsca na miejsce,
znalazł się wreszcie w lasach ordynacji Zamoyskiej.

Ten las to jego jedyne obecnie schronienie. Lecz
czy na długo? Czy i tu nie wytropią? A więc pozostaje
przejście granicy. W Galicji dadzą odetchnąć swobod-
nie. Skończą się prześladowania. Towarzysz Wiktor
podnosi się z mchu i wolno zaczyna iść w kierunku
pasa granicznego.

Kraków. Stary gród Piastów.

Strzelają ku górze niebotyczne wieżyce Marjackie-
go kościoła. Tony hejnału, jak za dawnych czasów,
rozlegają się nad Krakowem.

Wawel, królewski Wawel — wieczne przypomie-
nie dawnej potęgi nieszczęsnego kraju. Śpią w podzie-
miach katedry wiecznym snem królowie polscy.

A tam, wśród nich, jest niewidzialny sarkofag,
w którym spoczywa uspiona dusza narodu. Czy zjawi

się kiedyś ktoś, kto ze snu letargicznego zbudzić ją potrafi? Czy to ty nim będziesz, towarzyszu Wiktorze?

Śpi długim już snem dusza polskiego narodu.

Kraków — prastary polski gród.

Trochę tu lżej oddychać niż tam, za kordonem, lecz społeczeństwo i tu zgnuśniało. I tu uśpiony duch.

Duma nad tem towarzysz Wiktor, błędząc po starożytnych ulicach miasta. Jest już po raz drugi w Krakowie od czasu swej ucieczki z Rosji. Gdy się tu znalazł po raz pierwszy, był zaledwie parę miesięcy i pognął do Londynu, niby żyd-wieczny tułacz bez domu, bliskich, bez niczego i nikogo!

Wśród znanych działaczy na emigracji, jak Witold Jodko, Mikłaszewski, Leon Wasilewski poznaje towarzysz Wiktor Ignacego Mościckiego. Przyjaźń łączyła tych dwóch ludzi, kochających nadewszystko ojczyznę, ale towarzysz Wiktor niedługo w Londynie bawi — znowu wyjeżdża do Krakowa.

Nadchodzi rok 1903. Ten rok, to przeniesienie „Przedświtu“ do Krakowa.

Towarzysz Wiktor i w Galicji spokoju nie ma. Przeciwno niemu Liga Narodowa — obóz zachowawczo-klerykalny. Cóż dziwnego, że opowiada się przeciw niemu? Towarzysz Wiktor tak ma inne idee — obojętne mu, jaka ta Polska będzie, szlachecka, włościańska czy robotnicza, byleby była.

Wtedy w Krakowie był jeszcze jeden człowiek, który się starał zbudzić duszę narodu. Tym człowiekiem, wytykającym społeczeństwu, że tańczy potępieńczo chochoła tan, był wielki poeta Stanisław Wyspiański.

Lecz społeczeństwu tak było wygodnie, tak dobrze w swych dworach i mieszkaniach, więc pocóżby się **60** miała niepotrzebnie budzić dusza?

Wśród ciągłych tarć z przeciwnym obozem mijały 61
towarzyszowi Wiktorowi dni.

Od czasu do czasu urządził wycieczki do zaboru rosyjskiego, nie bacząc na to, jakim mu to grozi niebezpieczeństwem.

Nie wiedział, że zbliżał się czas, gdy powróci na długo do Królestwa.

W lutym 1904 roku skośnooki mikado ośmielił się wypowiedzieć wojnę białemu carowi.

Mały żółty człowieczek porwał się na kolosa rosyjskiego.

*Szapkami ich zabrosim!*²⁶ wołali o Japończykach oburzeni Moskale.

Nastąpił dzień ogłoszenia mobilizacji.

Zaraz po wybuchu wojny towarzysz Wiktor opuścił Kraków i pod przybranym nazwiskiem dostał się do Królestwa. Z jakąż nadzieją tutaj przybył!

Nie dopuści do poboru! Można przecież rozdać broń rezerwistom, stworzyć organizację bojową. Opór się każdemu postawi, kto zechce pędzić na rzeź za obcą sprawę. Niech raczej polegną wszyscy, ale śmiercią chwalebną.

Tak wierzył towarzysz Wiktor, że usłucha go społeczeństwo, tak wierzył, lecz czekało go rozczarowanie.

Nie pierwsze i nie ostatnie.

Obojętność ogółu dla tej sprawy bólem ścisnęła serce Wiktora. Nanic narażanie życia, nanic płomienne przemówienia.

Smutny, zniechęcony, powrócił do Krakowa.

Zielenią majową pokryły się stare planty. Wiosna — wiosna taka, jak zwykle co roku.

A z nią razem, niby powiew odrodzenia, nadeszło na ręce towarzysza Wiktora zaproszenie rządu mika-

da w celu porozumienia się i dania zbrojnej pomocy Polakom przeciwko Rosji.

Z jaką radością w sercu długą, bardzo długą drogą jechał towarzysz Wiktor do Tokjo.

W tymże samym czasie, tą samą drogą, jechał Roman Dmowski, przywódca Narodowej Demokracji, z jedną niespokojną myślą:

— Żeby rządowi japońskiemu ktoś z Europy nie podszeptał planu wyzyskania Polaków dla zrobienia w Rosji dywersji na zachodzie.

I przybyło do Tokjo tych dwóch tak różnych sobie ludzi.

Rząd mikada radykalnie zmienił poglądy po konferencji z Dmowskim.

Nadaremno przyjechał towarzysz Wiktor, nadaremno prosił o pomoc.

Iluzja wolności znowu się rozviała. Właściwie trzeba raz na zawsze pogrzebać nadzieję. Czyż można czegoś dokonać tylko z garstką wiernych i oddanych idei ludzi?

Każdy utraciłby ducha, ale nie towarzysz Wiktor.

Jeszcze jeden kielich goryczy wypił i dalej szedł wytkniętą przez siebie drogą, zapatrzony w wizję Wielkiej, Niepodległej.

R O Z D Z I A Ł T R Z Y N A S T Y

Europa osłupiała, gdyż stała się dziwna, niebywała rzecz.

62 Kolos rosyjski zadrżał w posadach pod uderzeniami małych złotych rąk.

Napróżno jechał na front stary generał Kuropatkin, wioząc białego zwycięskiego rumaka. 63

Wagony pełne świętych ikon, wysyłane na linie frontu, nie przyczyniały się do zwycięstwa prawosławnego cara.

Okrety, o drewnianych dnach, szły na dno z zastraszającą szybkością.

Żołnierze w papierowych butach, głodni, drżący z zimna nie mogli bronić cara - batuszki i, setkami brani w niewolę japońską, cieszyli się z tego, bo może nareszcie przestanie im dokuczać głód i nieznośne zimno.

Przyszła chwila podpisania haniebnej kapitulacji. Port Artur przeszedł na własność Japonii.

Zdziwił się car. Jakto? on, samodzierca, uległ w walce z malutkim żółtym człowieczkiem? Zdziwił się i... przestał o tem myśleć.

A w jego państwie wrzało. Wzmagał się dziwny tajemny ruch.

Dziesiątego listopada 1904 roku na placu Grzybowskim w Warszawie powiały czerwone sztandary. W niebo uderzyły głosy: „Nasz sztandar płynie ponad trony...”

To szli manifestanci, szła Polska Partja Socjalistyczna, na jej czele — Montwiłł, Mirecki, Okrzeja...

„Niesie on zemsty grom...” Potężne słowa leciały w zdumione, zamarte z trwogi, ulice Warszawy.

Zaszczekały karabiny moskiewskich żołnierzy.

Ktoś krzyknął, ktoś upadł i, konając, uderzał śmieśniewie dłońmi o twarde kamienie. Krew, taka czerwona jak sztandar wolności, zabarwiła bruk.

Druga salwa...

Nic to, że padają ranni, pieśń płynie dalej, potężnieje — pieśń wolności i bohaterstwa Polaków.

W 1905 roku odbył się siódmy zjazd Polskiej Partji Socjalistycznej.

Na mocy uchwały powstaje wydział spiskowo-bojowy, a na jego czele staje: Walery Sławek (pseudonim towarzysz Gustaw), przyjaciel Wiktora, jeden z najwierniejszych ludzi w partji.

Na tym zjeździe przemawia towarzysz Wiktor, a z jego szarych oczu błyskawice padają, gdy woła:

— O nasze cele polityczne musimy walczyć nie na języki, lecz z bronią w rękę! ²⁷.

Tak, lecz brakowało właśnie tej broni; trzeba było ją zdobyć za wszelką cenę. Lecz na to, by ją zdobyć, potrzeba pieniędzy, a skąd je wziąć?

W głowie towarzysza Gustawa powstaje plan — plan napadu na kasę rządową.

Ujmuje kierownictwo w swoje ręce.

W malutkiem miasteczku Opatowie, późną nocą, pod wodzą Mireckiego, zbierają się członkowie organizacji techniczno-bojowej.

A nazajutrz Polska Partja Socjalistyczna zostaje zasilona dwunastoma tysiącami rubli.

Teraz już działalność organizacji bojowej się rozszerza. Przychodzi napad na kasę kolejową w Wysokiem Mazowieckiem. Zamachy na policję i żandarmeryę stają się chlebem powszednim.

Strach pada na władzę zaborczą; a strajki robotnicze nie mogą również wpływać uspokajająco na

I oto następuje manifest rządu, zapowiadający 65
konstytucję.

Towarzysz Wiktor siedzi zadumany. Zwycięza, Polska Partja Socjalistyczna zwycięza! Lecz czy to wszystko nie nadaremne? Czy nie przyjdzie chwila, że rząd zemści się za to i zaleje nieszczęśliwe Królestwo falą reakcji i represyj?

Za wcześnie, za wcześnie na zbrojny czyn! Nie chce tego, tłumaczy, lecz wśród bojowców powstaje niezadowolenie z powodu niedopuszczania bojówki do wystąpień nazewnątrz.

Walka grupowa daje zwycięstwo — błady strach pada na żandarmerję. Przypomina towarzysz Wiktor zamach na generała Markgrafskiego, dokonany przez towarzysza Arciszewskiego. I zamach Wandy Krachelskiej na Skałona.

Uśmiech jaśnieje w oczach Wiktora, gdy przypomina sobie wyprowadzenie więźniów z Pawiaka. Jakaż była wściekłość żandarmerji po tym wypadku! A wszyscy spiskowcy i więźniowie uszli cało.

Tak, lecz czy to wszystko nie skończy się tragicznie?

Te napady na instytucje rządowe, na pociągi przewożące pieniądze, chociaż czynione były z najszlachetniejszych pobudek, raniły boleśnie duszę towarzysza Wiktora. Dlaczego? Dlaczego nie mogą Polacy wystąpić otwarcie i walczyć w szlachetnym boju z ciemnością? Rwie się do czynu zbrojnego ta garstka szaleńców, którym przewodzi. Domagają się akcji masowej, chcą walczyć i walczą. Pod Herbami dochodzi do krwa-

wych starć z wojskową eskortą. Lecz to akcja beznadziejna — czuje to, rozumie Wiktor.

I serce jego szarpie nadludzki ból, że znowu ofiary pójdą na marne.

Minał rok 1905, ku końcowi szedł 1906. Jak przeczuwał towarzysz Wiktor, za masowe napady na szpiegów, policję i żandarmerję rząd odpowiedział straszliwymi represjami.

Mszczono się na spokojnej i bezbronnej ludności. Zgodnie z przewidywaniem towarzysza Wiktora, w społeczeństwie polskim nie obudził się jeszcze duch. Nikt nie pomagał tej garstce, walczącej wciąż o niepodległość.

Ze smutkiem patrzył towarzysz Wiktor na fermenty, które się poczęły wkradać do partji. Nastąpił rozłam — to, czego się bał najwięcej.

Pozostał przy tych, którzy liczyli tylko na swe siły. „Młodzi“ wierzą w pomoc wojska, wierzą w rewolucję rosyjską, lecz straszna fala reakcji zaczyna przerażać tych młodych — zakrada się do dusz wątpliwość. Zamiera energia.

Wydział bojowy podejmuje się szaleńczym czynem podtrzymać upadającego ducha. Bez wiedzy Centralnego Komitetu Robotniczego planują napad pod Rogowem. Kierowanie akcją oddano w ręce Józefa Mirreckiego. Znowu do kasy rewolucyjnej wpływają pieniądze, lecz mimo wszystko rozłam partji jest aktem dokonany.

Na zjeździe partyjnym w Wiedniu, chociaż czyn rogowski wywołał entuzjazm, jednak decyzja o zawieszeniu wydziału bojowego zostaje zatwierdzona.

Nie pomaga powstanie Frakcji Rewolucyjnej. Nie udaje się zorganizowanie milicji w Łodzi. Brak środków materialnych paraliżuje wszystko. Szara beznadziejność otula płaszczem partję. Mniej wytrwali wycofują się, słabi — przechodzą na stronę wroga.

Triumfuje prowokacja.

Rewizje stają się rzeczą codzienną. Sieć, zarzucona na organizację, zaczyna dusić. Trzeba znaleźć jakąś drogę ratunku. Głowa towarzysza Wiktora pęka od myśli.

Zrobić chociaż coś większego, aby odetchnąć, nim przyjdzie zginąć²⁸. Niech chociaż mocnym akordem zakończy się ta walka.

Kijów. Po ulicach tego kresowego miasta chodzi towarzysz Wiktor. Niedawno pożegnał się z Denkiem, który wyjechał do Warszawy, aby przy pomocy swych stosunków i znajomości wysłać na roboty zarobkowe w głąb Rosji najwięcej skompromitowanych bojowców.

W długie bezsenne noce zapadło niezłomne postanowienie w duszy towarzysza Wiktora: silnym akordem zakończy czteroletnią walkę, pokaże, że działalność bojówki nie kończy się z powodu klęski i zdobędzie pieniądze. Pieniądze, któremi gardzi, ale woli je wziąć w walce niż zebrać o nie u tchórzliwego społeczeństwa. Spodłałe społeczeństwo polskie — to, które cofa się przed batem, które nie chce walczyć o siebie. Jak ci ludzie mogą żyć w takim upodleniu? Towarzysz Wiktor nie rozumie tego, zbyt wiele ma w sobie godności. Będzie walczył, chce zwyciężyć i zwyciężyć musi.

Po namyśle wybór pada na Bezdany.

Ale w tym zbrojnym napadzie sam weźmie udział. Wszak tylu ludzi na to posyłał, tylu przez to poszło na szubienicę. Jeżeli zginie, będzie to dla nich nagrodą moralną, że nie gardził ich robotą. Pójdzie, pójdzie, jak poszli tamci cisi bohaterowie, męczennicy Ojczyzny. A jeżeli nie zginie, jeżeli wpadną mu w ręce pieniądze, to wyjedzie do Galicji i tam zacznie tworzyć wojsko²⁹.

Tak — polskie wojsko! Śmieszne złudzenie, bajka! Wie, że tak wszyscy mówić będą.

Jednak porwie się na ten czyn. Jego ideał, którym jest wojsko — musi się urzeczywistnić.

Z tych długich rozmyślań wykwił czyn bezdański. A naród spał, spał kamiennym snem niewolnika.

R O Z D Z I A Ł C Z T E R N A S T Y

Szeroką aleją Plantów w Krakowie, o wiosennym zmięczeniu, pachnącym kwitnącemi kasztanami, szło dwóch młodych mężczyzn.

— Więc powiadasz — odezwał się jeden z nich — że Związek Strzelecki ma takie wzniosłe idee?

— Idee! — zaśmiał się w odpowiedzi, na pytanie towarzysza, Kazimierz Sosnkowski. — Idee — powtórzył — nasz Komendant ma tylko jedną ideę: ze związków strzeleckich stworzyć polskie wojsko, a niem wywalczyć niepodległą ojczyznę. Pomyśl sobie: przed dwoma jeszcze laty było nas zaledwie paru; 68 wtedy to właśnie koło milicyjne było pod mojem kie-

rownictwem — prowadziliśmy poważne studia nad wojskowością. Idea nasza zaczęła się rozszerzać — dziś już mamy kompanje i całe bataljony strzeleckie.

— A czy powstają one w związku z Polską Partją Socjalistyczną?

— Oczywiście. Podłożem tworzenia grup strzeleckich były przecież pieniądze, zdobyte w Bezdanach.

— A czy w innych zaborach nie organizujecie też takich związków?

— Naturalnie, że powstają, ale — jak się domyślasz — tajne. Zaczęliśmy także wydawać pismo wojskowe „Strzelec“. Są tam umieszczane moje artykuły, także Rydza-Śmigłego, a czasem nawet pisze i Komendant.

— Wszystko to bardzo piękne, ale jak myślicie zacząć wojnę, z kim i kiedy? Czy to nie byłoby szaleństwem rzucić się na Rosję lub Prusy?

Sosnkowski nie odrazu odpowiedział, dopiero po chwili mówić zaczął:

— Wierzymy w słowa naszego Komendanta. A on, czy wiesz, co powiedział w swym odczycie w Paryżu? A więc słuchaj: „Sprawa niepodległości Polski zostanie ostatecznie rozstrzygnięta w tym szczęśliwym wypadku, jeżeli Rosja zostanie pobita przez Niemcy, a Francja pobije Niemców i my musimy w tem pomóc“³⁰.

— Więc wasz Komendant wierzy w wojnę europejską?

— Wierzy w nią, a my wierzymy w niego i to nam wystarcza.

— No, ale do tej wojny może być jeszcze tak bardzo daleko, lata mogą minąć. Zapłać wasz ostygnie, nowi do szeregów nie przybędą.

Sosnkowski zachnął się niecierpliwie.

— Takich, jak ty wątpiących, jest wielu. Są jeszcze gorsi, ci, którzy nas lekceważą. Społeczeństwo patrzy na nas z politowaniem. Komendanta szaleńcem nazywają, a on, osamotniony, bez pomocy znikąd, tworzy nadal to dzieło, które wypieścił w swem sercu, które wykołysał marzeniami od lat dziecięcych. My jedni tego „Szaleńca“ czcimy! Śmieją się z nas, kpią. My idziemy, zapatrzeni w tę Jasną, Niepodległą, którą wywalczyć swemi szablami musimy.

Dotychczasowy oponent zatrzymał się nagle i, patrząc w oczy Sosnkowskiemu, powiedział:

— Jutro wstępuję do Strzelca.

I znowu minęły dwa lata. Nadszedł marzec 1914 roku. Duma Komendant w szarym mundurze strzeleckim. Oto utworzył z niczego 10.000 kadrę przeszkolonych strzelców, a pod innemi zaborami są także oddziały strzeleckie. Powstaje do życia wymarzona baśń: wojsko — polskie wojsko!

A teraz tylko jedno: musi wybuchnąć wojna.

„O wojnę wszechświatową prosimy Cię, Panie“. A wtedy, na tej szali, na którą będą miecze rzucone, nie zabraknie polskiej szabli.

Nic to, że społeczeństwo lekceważy go, nic to, że nazywają go szaleńcem — pójdzie walczyć o Polskę z tymi wszystkimi, którzy się nie zawahają oddać w ofierze swe życie ojczyźnie.

Pójdzie i zwycięży.

R O Z D Z I A Ł P I Ę T N A S T Y

Lipcowe skwarne południowe słońce męczącemi pocałunkami pieściło podolską ziemię.

Dwór państwa Śniechowskich w Śniechowie był pusty i cichy. Wszyscy znajdowali się w polu przy żniwach.

Pan Jacek Śniechowski od wczesnego ranka już był w polu, a towarzyszyła mu jego szesnastoletnia córka Bożenna.

Pan Jacek wcześniej owdowiał — Bożenka miała zaledwie sześć lat, gdy straciła matkę. Do dziesięciu lat była w Śniechowie, a potem odwiózł ją ojciec do Lwowa i umieścił w klasztorze Sacré-Coeur.

Rozpaczała i płakała w tych murach, więc, gdy ukończyła sześć klas, pan Jacek zabrał ją do majątku, uważając za zupełnie niepotrzebne, by dłużej traciła zdrowie w murach pensjonatu klasztornego.

Zaledwie od dwóch miesięcy jest w domu, a już służba pamienkę uwielbia, bo to i śliczne, i dobre, i jak ten ptaszek śpiewające.

Rozkochana w swojej ziemi, koniach i gospodarstwie, cały czas towarzyszy ojeu przy żniwach. Woli jeździć konno niż grać na fortepianie lub czytać francuskie powieści.

Koło godziny pierwszej w południe zaczął się we dworze ruch.

Stary lokaj Iwan z namaszczeniem wszedł do jadalni, by dozorować nakrywania do stołu, spełnianego przez lokajczyka Hrycia.

Sapał i klął z oburzeniem, gdy tylko zauważył jakiś błąd w nakryciu.

Właśnie Hryć kładł już ostatnią serwetkę na stole, gdy wesole ujadanie psów obwieściło powrót państwa z pola.

Zaturkotały koła i wygodny wózek, zwany na Podolu linijką, zatrzymał się przed dworem. Od paru już lat pan Jacek musiał się pożegnać z konną jazdą, gdyż obszernych rozmiarów brzuszki na to mu nie pozwalały. Obok wózka jechała konno Bożenna. Zeskoczyła lekko z siodła i rzuciła lejce podbiegającemu stajennemu chłopcu.

Szczupła, niewysoka, wydawała się małą dziewczynką, gdyby nie długa amazonka, która podkreślała, że to ma być dorosła panna.

Z opalonej owalnej twarzyczki patrzyły na świat duże chabrowe oczy. Małe, czerwone jak jarzębina, usta odsłaniały w uśmiechu równe białe ząbki. Kształtną główkę otaczał gruby złoto-kasztanowaty warkocz.

Znalazłszy się na ziemi, prędko wbiegła na ganek dworu i stanęła przy drzwiach, czekając aż ojciec zejdzie z wózka.

A gdy pan Jacek wstąpił na ganek, przytuliła się do jego ramienia i, wesole rozmawiając, przeszli dużą sienią, gdzie na ścianach bielonych wianki dożynkowe wisiały, i weszli do jadalni, w której już oczekiwał na nich poważny Iwan z dymiącą wazą.

Zachodzące słońce płonąca czerwienią zalewało niebo.

Na ganku dworu w Śniechowie siedział pan Jacek w towarzystwie przed chwilą przybyłego z pobliskiego sąsiedztwa pana Władysława Strumińskiego. Prawie

od młodzieńczych lat przyjaźnili się z sobą, a podobny los jeszcze ich bardziej zbliżył: obaj kochali nad życie swe żony, obaj owdowieli. Pan Jacek przed dziesięciu laty pochował swą towarzyszkę życia, pan Władysław w tymże samym czasie żałobę po żonie włożył. Dwór w Strumiłowie opustoszał jeszcze bardziej niż w Śniechowie, bo w dwa lata po śmierci matki Mira wyszła zamąż za młodego Gryf-Borzęckiego. Pan Władysław pozostał sam, sam w wielkim, pustym dworze. Żeby chociaż córka była szczęśliwa. Ale ile razy młodych odwiedzał, widział, że coś tam jest nie w porządku. Oczy jedynej córki nosiły ślady łez. Co to miało znaczyć? W duszy pana Władysława rosło przeświadczenie, że Mira do dziś dnia kocha ex-narzeczonego, że do dziś po nim rozpacza. Nic dziwnego, że zamąż wyszła, przecież zawsze taki na to kładł nacisk, a ona była posłuszna, nie chciała się ojcu sprzeciwiać. I jeszcze jedno: coraz częściej nasuwały mu się pewne słowa Miry: „Mnie już wszystko jedno“. Tak, jej już było wszystko jedno, co się z nią stanie. I dlatego, dlatego wyszła zamąż. Gdy myślał o tem, taki go żal opanowywał, że miejsca sobie znaleźć nie mógł. Kazał wtedy konie zaprzęgać i jechał w sąsiedztwo, najczęściej do Śniechowa.

— Jakże tam u was, sąsiedzie, żniwa? — zapytał pan Jacek.

Już miał pan Władysław odpowiedzieć, gdy nagle zobaczył zdaleka tuman kurzu.

— Ktoś jedzie do was — rzekł, patrząc na drogę.

— Chyba to Rościsław Młodzianowski — odezwał się pan Jacek — często do nas zagląda, odkąd jest Bożenka.

— A no cóż, partja dobra i chłopak miły.

— Tak, tylko że Bożenka to dziecko jeszcze, nie oddam jej tak prędko w stadło małżeńskie.

— Ale zaręczyć się młodzi mogą, jeżeli — tu głos pana Władysława zadrżał — naprawdę się kochają.

— Kochają! — zaśmiał się pan Jacek — on poza nią świata nie widzi, a ona raki piecze, jak tylko go zobaczy.

Z tumanu kurzu zaczął się wyłaniać jeździec.

— Zgadłem, Młodzianowski! Jak to śpieszy, spójrzcie, sąsiedzie! — zaśmiał się wesoło pan Jacek.

Jeszcze chwila i jeździec osadził przed gankiem konia, zeskoczył z siodła i szybko zbliżał się do siedzących panów.

Był to młody chłopiec, lat zaledwie dwudziestu, smukły jak topola, wysoki, zgrabny, z jasno-blond czupryną. Z orlej twarzy spoglądały szczerze, otwarcie, błękitne, o marzącym wyrazie, oczy.

Z szacunkiem przywitał się z panami i, wyciągając z kieszeni gazetę, zawołał:

— Tylko co otrzymałem świeże gazety — wojna, panowie.

— Wojna? kogo, z kim? — zawołał zdumiony pan Jacek.

— Austrii z Serbją, to jasne — odezwał się pan Władysław. — Mówiłem, że z tego zabójstwa w Serajewie wojna rozgorzeje.

— Rosja wypowiedziała wojnę Austrii, w obronie Serbji — zaczął mówić z ożywieniem Młodzianowski. — Gazety do nas się spóźniają i nadeszły razem: w jednej jest o wypowiedzeniu wojny przez Austrię Serbji, w drugiej — wypowiedzenie przez Rosję Austrii.

— Wojna — rzekł powoli pan Jacek — wojna to

dla Polaków walka bratobójcza. W każdym zaborze Polacy — w innych tylko mundurach. I w imię czego i kogo walczyć będą?

— Powinniśmy iść do swego wojska! — zawołał Młodzianowski.

Obaj starsi panowie pokiwali pobłaźliwie głowami.

— Mrzonki, mrzonki — odezwał się pan Jacek — a gdzież to wojsko polskie?

Błękitne oczy Rościszława zapłonęły.

— Mamy w Galicji kadry strzeleckie, tam każdy Polak iść powinien, to nasze przyszłe polskie wojsko.

— Kadry strzeleckie? — rzekł pan Władysław — coś o tem słyszałem. Lecz co tam one zrobić mogą! Dziecinne to wasze rojenia — sny o wojsku, sny o szabce.

— To już nie rojenia! — zaprzeczył z zapalem Rościszław — to żywy czyn! Kadry strzeleckie są — i pójdą walczyć o Polskę, gdy nadejdzie czas.

Rozpętała się krwawa zawierucha.

Dwugłowy orzeł runął na jednogłowego.

Malutka Serbja spływała serdeczną krwią, broniąc swej wolności przed cesarsko-królewską armją.

Z zimnego Albjonu płynęły potężne okręty.

Uprawne, żyzne ziemie Belgów zalały wody — bohaterowski naród wołał wszystko zatopić niż oddać Niemcom.

Zapłonęło Reims.

A szosą na Kielce szła I kompanja kadrowa, pod dowództwem młodziutkiego porucznika Kasprzyckiego. Szła i wydawało się jej, że w błękitach leci nad nią orzeł biały.

Szła kompanja kadrowa, zapatrzona w ten ideał,
który jej rzucił przed oczy Komendant ukochany,
w ideał powstającej z grobu Polski.

Szła I kompanja kadrowa...

„Na szali, na którą miecze rzucano, nie zabrakło
polskiej szabli...³¹.”

R O Z D Z I A Ł S Z E S N A S T Y

Jasna, cicha, księżycowa, podolska noc. Poświata
srebrzystą zalane aleje starego parku w Śniechowie.
Jedną z tych alei idzie Bożenka z Rościszławem.

Parę dni temu odbyły się ich zaręczyny i to im po-
zwala na dłuższy pobyt sam na sam pod opiekuńcze-
mi konarami starych drzew.

— Bożenko, jam taki szczęśliwy, że mnie kochasz,
dzieweczko moja!

Blade światło księżycyca nie pozwala dojrzeć mocne-
go rumieńca, jaki wykwitł przy tych słowach na opa-
lonej twarzyczce.

— Przyjechałem dzisiaj, by ci wyjawić moje po-
stanowienie. Dotychczas czasu jakoś na to nie było.

— Postanowienie? Jakie to postanowienie?

— Tak mi trudno powiedzieć. Tak trudno pomy-
śleć, że może cię długo, bardzo długo nie będę widział.

— Co to ma znaczyć?

— To znaczy, że idę do Legionów.

Krzyk przerażenia wyrwał się z ust Bożenny:

— Do Legionów?! Jakto?! Przedrzesz się przez front? Nie, ty tego nie zrobisz, nie zostawisz mnie samej! 77

— Tam miejsce każdego Polaka. Wstydziłbym się samego siebie, gdybym w domu został. Więc mam siedzieć tu wygodnie, w swoim majątku, gdy brygadier Piłsudski wykuwa wolność Ojczyzny? Legiony idą w bój, jak na wesele, skrapiają swoją krwią ziemię. Nie byłbym godnym imienia Polaka, gdybym tu został.

— Nie byłby godny imienia Polaka — myśli Bożenna. — Pójdzie i już go nigdy nie zobaczy. Bezwiednie zaczynają płynąć po twarzyczce łzy, ale Rościsław nie widzi tego. Zapatrzony w wizję brygady legjonowej, mówi z zapamiętaniem:

— I wywalczymy Polskę! Mimo że społeczeństwo pomocy nam nie daje, że się z nas śmieje. Przez trudy i znoje idzie brygada. To nic, że ciężkie walki. Zwycięża! Pójdziemy wszyscy, na zew naszego brygadjera, pójdziemy wszyscy, my młodzi!

— A jeżeli zginiesz?

— Spełnię tylko swój obowiązek.

— Kiedy wyjeżdżasz?

— Jutro. Przyjechałem pożegnać cię, Bożenko.

— Już jutro — szepcze przez łzy.

Rościsław zatrzymał się i ukląkł przed narzeczoną.

— Pobłogosław mnie, Bożenko. Pobłogosław i módl się za mnie. Twoje modlitwy będą mi tarczą, gdy walczyć będę. A gdy powstanie Polska, wrócę do Ciebie, wrócę — gdy tu, na tej kresowej ziemi, stanie polskie wojsko.

Bożenka zdjęła ze swej szyi złoty krzyżyk.

— Ten krzyżyk, umierając, matka mi dała! Niech

on cię ochroni od kul. Idź, idź, gdzie cię woła obowiązek. Dla Polski, oddaję Cię Polsce.

Powstał z klęczek i przytulił ręce narzeczonej do ust.

— Wróć do Ciebie, Bożenko! Pamiętaj, że wróć!

Oczy Bożenny patrzyły gdzieś wdał, w poświęcone księżycową.

— Nie zobaczę cię już więcej, czuję to! Nie zobaczę.

— Więc wrózysz mi śmierć, Bożenko?

— Nie — ty żyć będziesz, ale ja...

Jej oczy były jakieś dziwne: jakby zasłona, ukrywająca przyszłość, uchyliła się przed niemi na chwilę.

— Bożenko, co ty mówisz? Skąd te myśli straszne?

Przesunęła ręką po czole, jakby odgonić chciała jakąś upartą myśl.

— Nic mi nie jest. Nic. Pamiętaj o mnie! I wiedz, że modlić się za ciebie będę.

Srebrna tarcza księżycy patrzyła z szafirowego nieba na spokojną kresową podolską ziemię.

Los kuł historję.

Krwawo zabłysły bohaterstwa Francuzów; w błotach pruskich ginęła armja Samsonowa, cesarz Wilhelm wysyłał na śmierć coraz to nowe pułki żołnierzy; w beznadziejnej walce konała Serbja.

A brygadjer Piłsudski prowadził do boju niezłomną brygadę.

Rosła epopeja Legionów.

Laski—Krzywopłoty—Łowczówek—Konary.

78 Tylu się w mogiłę kładzie, lecz idą, idą zapatrzeni w tego, który jedzie na przodzie, na swojej kasztance.

Pokrywa się mogiłami ziemia, mogiłami żołnierzy polskich, hen poprzez Galicję, aż ku Kresom, poprzez Karpaty... 79

I pieśń się zrywa z ust żołnierskich, pieśń dla ich Komendanta:

„Jedzie, jedzie na kasztance, siwy strzelca strój,
Hej, hej, Komendancie — miły Wodzu mój!“

R O Z D Z I A Ł S I E D E M N A S T Y

Na linii Stochodu i Styru stanęły trzy legjonowe brygady.

*Zabarwiły się polską krwią łąki i pola wołyńskie.

Tylu już zginęło, tylu wie, że zginie. Ale nie upada duch, bo z małej, polowej kwatery promieniuje na żołnierzy serce Komendantowe. To serce, które nad wszystko Polskę ukochało.

A przed każdą walką gromadzą się żołnierze na mszy polowej.

Biskup Bandurski od ołtarza błogosławi — ich kapłan, który w okopach razem z nimi siedzi, dzieli ciężką dolę żołnierza, zawsze łagodnie uśmiechnięty — przyjaciel Komendanta. Tylu już na śmierć spowiadał, tylu konających rozgrzeszał kapłan polskiego żołnierza, kapłan, który wybrał trud, znój i tułactwo zamiast wygodnej stolicy biskupiej.

Czyż mógł upaść duch żołnierzy, jeśli czuwały nad nim szare oczy ukochanego Komendanta i jasna postać prawdziwego kapłana Chrystusowego?

W swej kwaterze legionowej duma Komendant. Część marzeń się ziściła. Jest wojsko polskie, wybuchła wszechświatowa, jak przeczuwał, wojna.

Chwieją się dwie potęgi odwiecznych wrogów Polski. Z Warszawy Moskal wypędzony, ale but pruski ją dławi. Lecz przyjdzie chwila, gdy miasto to będzie tylko polskie!

Już cała Europa przypomniła sobie o egzystencji Polski.

Walczą Polacy, lecz już nie jako pruscy lub rosyjscy żołnierze, ale jako niezależne polskie brygady. Ileż pracy i trudu kosztowało powstanie Polskiej Organizacji Wojskowej!

Krzywem okiem patrzyła na to Rosja.

Lecz co dalej? — Czasem to pytanie gnębi, ale musi — musi zwyciężyć.

Z państwa białego cara szło na niego niezadowolenie, społeczeństwo polskie sarkano — przecież car, przez usta księcia Mikołaja Mikołajewicza w jego odezwie do Polaków, obiecywał wolność. Więc lepiej walczyć po stronie cara.

Nie, komendant Piłsudski nie wahał się. On widział zwycięstwo tylko wtedy, jeżeli Polska nie pod czyjemiś opiekuńczemi skrzydłami, lecz sama za siebie walczyć będzie.

I duma w ciemną noc w kwaterze polowej, duma nad Polską komendant Piłsudski.

Dnia 5 listopada 1916 roku państwa środkowe proklamują akt wskrzeszenia samoistnego państwa polskiego.

Nadzieją radosną powiało. Teraz już powstanie ta **81**
Wielka Nieśmiertelna. Sprawa Polski przed forum
międzynarodowem!

W tym samym czasie cios miał spaść na żołnie-
rza polskiego. Ich ukochany Komendant rzuca do-
wództwo I brygady. Musiał to zrobić, lecz to tak trud-
ne do zrozumienia dla żołnierzy i tak bardzo tragiczne.

A serce Komendantowe w bólu się łamie, że musi
odejść od swych ukochanych legionistów.

Rwie się znów dusza, ale to dla dobra, dla dobra
Ojczyzny.

Zawsze z tym jednym celem, z tą jedną myślą,
składa swą dymisję.

Nadszedł rok 1917.

Rozszalała się rewolucja rosyjska. Zadrżał i runął
tron Romanowych. Przerażony blady car z rezygnacją
podpisuje abdykację.

Z ciemnych nor, z suteren i poddaszy wychodzi
na ulice Petersburga dziwna armja; inna od tej, która
miała bronić Rosję przed czarnym jednogłowym or-
łem.

Jakieś postacie o twarzach z człowieczeństwa odar-
tych, o drapieżnie wyciągniętych rękach.

Marynarze z czerwonymi kokardami buńczucznie,
hardo, wkraczają do Dumy.

Ster rządów imperjum ujmuje w ręce Kiereński.

Mkną na front sprzeczne rozkazy: do żołnierzy,
by nie słuchali oficerów; do oficerów, by żelazną ręką
trzymałi żołdactwo.

Zaczynają się krwawe rzezie.

Płoną dwory.

Na to wszystko patrzy z ukrycia człowiek o skośnych oczach mongola, czekając odpowiedniej chwili, by stanąć na czele wielomiljonowego narodu.

Mały człowiek o twarzy mongola — twórca rosyjskiej rewolucji — Uljanow-Lenin.

R O Z D Z I A Ł O S I E M N A S T Y

— Zdaje mi się, tatusiu, że dzisiaj koniec już z nami będzie.

Pan Jacek z rozpaczą spojrział na córkę. — Boże, może ona ma przeczucie?! Od początku rewolucji sąsiedzi namawiali, by opuścił Śniechów. Ale on tak bardzo tę swoją ziemie kochał. Poza tem, w głowie mu się pomieścić nie mogło, że grozi tu śmierć.

Jakto? jego chłopci, dla których opiekunem był najlepszym, mogą go zabić?!

Czyż podniosą rękę na swoją panienkę, którą tak kochali?

Nie, to niemożliwe!

Po wybuchu rewolucji przyszli do niego starsi chłopci i prosili, żeby im powiedział, czy to prawda, że ziemia ma teraz do nich należeć, — a gdy to potwierdził, długo myśleli, wreszcie orzekli, że oni się na to zgadzają, ale pan musi im wydać odpowiednią *bumagę*³², że ziemię kupili. Bo może znowu po jakimś czasie coś się zmieni i ziemię każą im oddać.

Konferencja ta skończyła się na niczem.

Przeszło parę miesięcy.

Zacęli wracać z frontu żołnierze, a gdzie tylko przyszli, tam nawoływali do wypędzania z dworów „burżujów“.

Doszła do pana Jacka wieść o zamordowaniu księcia Sanguszkii.

— Uciekać, w mieście się schronić — radzili wszyscy.

W okolicy pustoszały dwory — ziemiaństwo uciekało do pobliskich miasteczek.

Coraz częściej łuną pożarną czerwieniło się niebo — to dwory palono.

W Śniechowie stał niezniszczony biały dwór, i pan z panią mieszkali, jak dawniej.

Chłopi coraz częściej zaglądali do obory i stajni dworskiej — zawsze po takiej wizycie ginął jakiś koń lub cielak.

Służba się gdzieś rozbiegła, pozostał jedynie stary Iwan.

Przed dwoma dniami przybył do wsi śniechowskiej oddział żołnierzy — i od tej pory coś się zaczęło dziać złego.

Bez przerwy rozlegały się strzały, a do dworu dochodziły pijane okrzyki żołdactwa.

Iwan, który się wybrał do wsi, by zasięgnąć języka, wrócił niedawno i z przerażeniem opowiedział, że chłopstwo dziś właśnie napadnie na dwór.

Pan Jacek spokojnie wysłuchał tej wieści i zamyslił się głęboko.

Trzeba uciekać, lecz czy nie za późno? Jedyna droga do miasteczka prowadziła właśnie przez wieś.

Uciekać, ani chwili nie zwlekając!

Brać, co się tylko da — para koni jeszcze w stajni została, do wózka zaprząć i uciekać.

Gdy to postanowił, usłyszał słowa córki. Co mówi to jedyne dziecko?!

„Koniec z nami“.

— O Boże!

— Uciekajmy, Bożenko! Idź, ubierz się, ja wezmę tylko broń i pieniądze z biurka, a potem w drogę.

Zaledwie domówił tych słów, gdy rozległy się mocne uderzenia w wejściowe drzwi — a potem krzyki, wrzawa, wreszcie jakiś głos:

— *Otkroj dwierci, ty burżuj* ³³.

Pan Jacek zbladł. Napad — za późno uciekać, za późno!

— Idą już po nas, tatusiu — zbiełałemi ustami szepnęła Bożenka.

Wpadł wystraszony do pokoju Iwan:

— Cały dwór chłopstwem i żołnierzami otoczony, uciekajcie!

Pan Jacek otworzył biurko, wyjął rewolwer — sprawdził spokojnie, czy broń nabita.

Coraz natarczywsze dobijanie się, krzyki...

— Drzwi parę minut jeszcze wytrzymają — myśli pan Jacek — a więc ma jeszcze parę minut życia.

— Bożenko, uklęknij i módl się — posłusznie wykonała rozkaz ojca — módl się za umarłych, córko.

— Wieczny odpoczynek... — szepczą usta Bożenki, a oczy z obłądnym lękiem gdzieś w przestrzeń patrzą.

Zrywa się nagle z kolan:

— Tatusiu, zabij mnie, nie daj, by córka twoja szła na poharbienie, zabij mnie, tatusiu!

Pan Jacek przytula zimne usta do czoła córki:

— Odejdiesz z życia czysta i niepokalana, córecz-

Wdarła się do dworu łąszcza — jakieś koszmarnie, zbrojeckie postacie, o twarzach potwornie pijanych. — *Rizaty paniw*³⁴ — okrzyk chrapliwy.

Pohulają... pohulają...

Przebiegli jeden pokój, drugi, o, tam światło się pali! — tam jasny pan ze swoją pociechą.

Rozległ się strzał, potem drugi — przystanęli.

Po chwili cicho, skradając się, podchodzą do drzwi, skąd doszły strzały.

Wysoki barczysty chłop, dawny stangret dworski, pierwszy stanął na progu pokoju, za nim cisnęła się łąszcza.

Patrzą, osłupiałymi zdumieniem oczami, patrzą...

Na środku pokoju, w kałuży krwi, leżała martwa Bożenna — obok niej, z zaciśniętym w dłoni rewolwerm, pan Jacek.

Żył jeszcze... jego zachodzące mgłą śmierci oczy zatrzymały się na chłopach. Poruszyły się usta konającego:

— Nie oddałem wam dziecka i mnie żywcem nie wzięliście... wy, cienie upiorne...

Stali długo, patrząc na te dwa ciała, snem wiecznym objęte, a potem jakby widmo śmierci przeraziło ich — cofnęli się.

Przy trupach pozostał stary Iwan i patrząc na tę swoją panienkę, którą na rękach dzieckiem małym nosił, leżącą teraz w kałuży krwi, płynącej z jej serca, tak celnie trafionego kulą ojcowską, powtarzał wkółko:

— Nie żyje detyna, nie żyje!...

Hula rozbestwione chłopstwo.

Piją stuletni miód, znaleziony w piwnicach dworu — rąbią meble, zdzierają obrazy.

Sypie się tynk ze ścian starego dworu...

Na pohybel szlachcie, na pohybel!

Nie patrz tak hardo, ze złotych ram, ty, panie kasztelanie, bo oto pluje ci w twarz pijany chłop!

Mało ci jeszcze?!

No, to ze ściany na ziemię, a buty dziegiem śmierdzące deptać cię póty będą, aż przedrze się stare płótno portretu!

Na pohybel! na pohybel kulturze, pięknu, tradycji...

O świcie krwawa luna zabarwiła niebo.

To płonął podpalony przez chłopstwo stary dwór w Śniechowie.

R O Z D Z I A Ł D Z I E W I Ę T N A S T Y

Uderzają o bruk warszawski drewniane podeszwy sandałów. Długie, niemal kilometrowe ogonki przed sklepami żywnościowymi. Sobór na placu Saskim zmienił swe szczerozłote kopuły na blaszane, gdyż złoto było potrzebne okupantom.

Jakże się zmieniła Warszawa!

Gdzie się podziały strojne, eleganckie kobiety, gdzie panowie w sakach i cylindrach? Gdzie pojazdy, mknące w Aleje? Gdzie rozśpiewane szantany?

Zniknęło to wszystko, a zamiast tego zbiedzone postacie o bladych wychudłych twarzach, wystające goździnami w ogonkach, by otrzymać chleb kartkowy,

86 mąkę lub fasolę.

W nielicznych restauracjach niemieccy oficerowie 87
piją kawę i piwo.

Cicha, jakby wymarła Warszawa, rządzona pruskim bagnetem.

A bagnet ten ukrywa się za dostojnym parawanem, jakim jest Rada Regencyjna.

Przyszła noc z dnia 13 na 14 lipca 1917 roku.

Tej nocy kilku przywódców Polskiej Organizacji Wojskowej zostało aresztowanych. Powędrowali do więzienia: Walery Sławek, Adam Skwarczyński, Jędrzejewicz, Hempel...

Komendant Piłsudski przeczuwa, że i jego nie minie więzienie.

Odmówienie przysięgi było wypowiedzeniem walki, może ją przegra, ale tylko chwilowo. Czuje, wie, że ostatecznie zwycięży.

Niedługo był na swobodzie po aresztowaniu swych podkomendnych.

Dwudziestego czwartego lipca, po powrocie z Lublina do Warszawy, zostaje aresztowany Komendant.

Długa droga czeka więźnia.

Znowu, jak przed laty, zatrzasnęła się za nim brama więzienna.

Magdeburg.

Długie samotne godziny, rozmyślanie o walce, zdałoby się beznadziejnej.

Więzień — samotny więzień Magdeburga.

Dnia 8 stycznia 1918 roku ogłoszono orędzie prezydenta Stanów Zjednoczonych, a 3 czerwca tego ro-

ku uchwała konferencji szefów rządów Anglii, Francji i Włoch.

Włoką się bez końca dni dla więźnia w Magdeburgu.

Przechodzi rok uwięzienia, zaczyna się drugi. Ile jeszcze przejdzie w tych znienawidzonych murach?

A potajemna praca Polskiej Organizacji Wojskowej nadal trwa.

Jesienią 1918 roku przygotowuje się w Warszawie zbrojny czyn.

Przywódcy Polskiej Organizacji Wojskowej, którzy uniknęli jakoś aresztowania, z narażeniem życia organizują młodzież.

I oto 11 listopada rozległy się strzały na ulicach Warszawy. Młodzież z P. O. W., prowadzona przez swoich przewódców, zaczęła rozbrajać Niemców. Dziwne to takie było!

Uzbrojeni żołnierze poddają się garstce Polaków, ucieka samochodem z Warszawy generał Beseler.

Polska Organizacja Wojskowa opanowuje dworzec i wszystkie rządowe instytucje niemieckie.

Zwycięstwo!

Wolna, nie rosyjska, nie niemiecka, ale polska Warszawa!

Powrócił do Warszawy więzień Magdeburga.

Coprawda niechętnie, ale Rada Regencyjna przekazuje mu władzę i naczelne dowództwo wojsk polskich.

Wojska niemieckie składają broń na granicy i opuszczają tereny okupacyjne.

Miasto za miastem zrzuca więzy niewoli.

Komendant Piłsudski jako wódz naczelny w trudem i znoju zaczyna budować państwo polskie.

W restauracji Wróbla, przy stoliku, stojącym w loży i zastawionym baterjami butelek, siedziała piękna młoda kobieta w towarzystwie kilku eleganckich mężczyzn.

Jeden z panów powstał właśnie i, wznosząc kieliszek z szampanem, obwieścił:

— Zdrowie naszego amfitrjona!

— Niech żyje, niech żyje! — I uderzano kieliszkami w kieliszek siedzącego z prawej strony pięknej pani mężczyzny, którego przystojna twarz była blada, zmęczona i zblazowana.

— Dziękuję, kochani, bardzo dziękuję — mówił jakimś sennym, znudzonym głosem — ale haczej wypijmy zdrowie tej, któha jest przyczyną tego oto przyjacielskiego zebhania. — Mówiąc to, ucałował pokryte brylantami palce kobiety.

— Powiedźże nareszcie, Iwo, jaka to przyczyna, bo do tej pory tego nie wiemy. Kazałeś nam przyjść tutaj, zjawiasz się z tą oto śliczną panią Nettą i...

— Więc słuchajcie. Dziś właśnie mija pół hoku, jak poznałem Nette, więc chciałem dzień ten uczcić skhonnem przyjęciem.

Słuchając tych słów, lekki, zaledwie dostrzegalny, uśmiech ironji wykrzywił ponsowe usta pięknej Netty. Z uśmiechem tym patrzyła na swego przyjaciela.

Jakiż on śmieszny, z tą swoją pyszałkowatością, z tą dumą.

Śmieszne to, ale jej z tem dobrze — oddawna już miała ochotę go poznać. Iwo Sep-Szarzyński znany był jako człowiek bardzo hojny. Nic dziwnego. Po ojcu odziedziczył olbrzymie dobra i chociaż żył bardzo wystawnie, jednak zbyt to była wielka fortuna, by móc ją prędko stracić. Bogaty, ustosunkowany, umiał

wykręcić się od służby wojskowej i wiódł wcale wygodne życie w Warszawie podczas całej wojny. Trochę porobili mu Niemcy szkód w majątkach, ale przecież były jeszcze kapitały, deponowane w zagranicznych bankach.

Tak, Netta mogła być zadowolona: wie, że wszystkie najbardziej ekscentryczne zachcianki będą spełniane. To też przy ostatnich słowach, które Iwo wygłaszał, jej ironiczny uśmiech zmienił się w pełen szczęścia i radości.

Panowie wznieśli perlącym się szampanem jej zdrowie, a gdy wypili, Iwo położył przed nią małe safjanowe étui. Otworzyła je i oczy jej błysnęły: na różowym aksamicie spoczywał pierścionek z olbrzymią perłą urjańską.

Z uśmiechem zadowolenia włożyła go na palec.

— Dziękuję ci, Iwo — powiedziała z czarującym spojrzeniem — ale — tu zwróciła się do wszystkich zebranych — czy się nie rozgniewacie, panowie, jeżeli was opuszczę?

— Nie zgadzamy się! Nie puścimy! — rozległy się głosy protestu.

— Dlaczego chcesz iść, Netto? — zapytał Iwo.

— Dziś wieczorem występuję przecież w teatrze.

— A, to co innego! Już cię nie zatrzymuję. Ale chciałbym jeszcze choćę z przyjaciółmi posiedzieć. Nie obhazisz się, że cię nie odphowadzę?

— Nie, na pewno się nie obrażę.

— Będę na przedstawieniu, a potem jedziemy na kolację.

Skinięła głową i odeszła, pozostawiając po sobie 90 odurzającą woń perfum.

— Masz szczęście, Iwo, cudowna kobieta! — rzekł, patrząc za znikającą Nettą, Wiesław Jaxa-Ziębiński, właściciel paru cukrowni i fabryk, przyjaciel Szarzyńskiego niemal od dziecięcych lat.

— Ona jest bajeczna — odpowiedział z uznaniem Iwo — ale, a phopos kobiet: co hobi twoja Zizi? bardzo ładna dziewczyna.

— Właśnie przed paru dniami z nią zerwał, — rzekł drugi przyjaciel Szarzyńskiego, Jerzy Wurcewicz, również jak i on bogaty ziemianin.

— O, przephaszam — gdybym wiedział, nie pohuśtałbym tej sphawy.

— Możesz, możesz ją poruszać — odparł Ziębiński — zerwanie z Zizi to dla mnie rzecz zupełnie obojętna. Była — dobrze, niema — będzie druga. Mam większe, poważniejsze zmartwienia.

— Cóż to takiego?

— Ach! Rząd mnie denerwuje. Wyobraźcie sobie, co wyrabia ten premier Moraczewski! Wraz ze swoimi socjalistycznymi ministrami wydaje co najmniej dziwne dekrety i ustawy; wiecie jakie?!

— Skąd mogę wiedzieć? — odezwał się Iwo — zbyt byłem ostatnio zajęty Nettą, żebym mógł coś o polityce wiedzieć.

— No, to się dowiedz: ośmiogodzinny dzień pracy, opieka lekarska dla robotników i wiele innych idjotycznych ustaw. I kto ma za to płacić? pytam — kto? Oczywiście, że właściciel fabryki! Co ten rząd sobie myśli?!

— Najgorsze, że Piłsudski powołał tylko do stehu przedstawicieli P. P. S. i jednostki z rządu lubelskiego. Ani jednego z ludzi sfehy niema w rządzie. To okhopenne, by hasa była tak niedoceniana!

— A wiecie, że ludowcy galicyjscy z Witosem odmówili udziału w gabinecie Moraczewskiego?

— Tak, słyszałem o tem, — rzekł Wurcewicz.

— Narodowa Demokracja coraz bardziej gwałtownie przeciwstawia się rządowi, — zaczął mówić z ożywieniem Jaxa-Ziębiński, — a partja ta jest silna, bardzo silna; wiem o tem, gdyż należę do niej. Chcemy rządu z Romanem Dmowskim na czele.

— Czy być może? — zdziwił się niepomiernie Iwo — czy być może? Ty należysz do jakiejś partji?! Nigdy tego nie przypuszczałem!

— Należę — bo już mnie do pasji doprowadza ten chłopsko-robotniczy rząd i Piłsudski!

— A cóż ci złego Piłsudski zhobił?!

— To on powołał rząd ludowy, więc to jego we wszystkim wina!

— Ciągłe są manifestacje uliczne, protesty, — odezwał się najmniej biorący udziału w rozmowie Wurcewicz.

— Dosyć już tej polityki, — niemal z rozpaczą zawołał Iwo. — Dosyć już! Czy wam nie wszystko jedno, kto rządzi? Chodźcie lepiej do mnie na kawę, dam wam świetne cygaha, jakie udało mi się wypadkowo dostać. Hachunek! — zawołał do przechodzącego kelnera.

W chwilę potem trzech przyjaciele znaleźli się na ulicy.

Przed Wróblem stał powóz Szarzyńskiego.

— Phoszę, siadajcie, — zapraszał Iwo.

Wurcewicz już był w powozie a Jaxa-Ziębiński miał właśnie wsiadać, gdy zobaczył, że Iwo kłania się, z wielkim szacunkiem, jakiejś pani.

Była to kobieta lat może trzydziestu kilku, o pięknej bladej poważnej twarzy. Z pod futrzanej czapeczki wysuwały się złote włosy. Orzechowe, śliczne, smutne oczy spojrzały obojętnie na Szarzyńskiego, gdy odpowiadała na jego ukłon lekkim skimieniem głowy.

— Iwo, kto jest ta śliczna kobieta?

— Pani dyhektohowa Miha Ghyf-Borzęcka. Mówisz, że śliczna — i ja jestem tego zdania. Ale żebyś zobaczył jej cóhkę! Dziecko jeszcze, ma dopieho dwanaście lat, ale co za oczy, co za oczy! Będzie z niej cud, nie kobieta. Hysia, tak się nazywa, — Hysia... Szkoda, że jeszcze taka mała.

R O Z D Z I A Ł D W U D Z I E S T Y

W drobnych rączynach zaciśnięty kurczowo karabin. Oczy miłością Ojczyzny i ukochanego miasta rozpalone — a usta w kącikach drżą i szepeczą w chwili konania:

— Mamo!..

Lwów kona.

Hordy Ukraińców opanowują miasto, bronione przez garstkę dzieci i kobiet. Bohatersko walczą chłopcy czternastoletni, ale wróg silny — krwią spływają ulice kresowego miasta.

Broni się rozpacznie Lwów.

Pomocy, pomocy! Wzywają stare mury miasta.

Pomocy... przecie i dzieci nie ostoją się hordom ukraińskim.

Dlaczego nikt na odsiecz nie przybywa?!

Dlaczego ta garstka żołnierzy, która razem z dziećmi miasta broni, w łachmanach jest, w dziurawych butach?! O Boże, dlaczego?!

Wszak tam, daleko we Francji, stoi polska armja, armja Hallera — w mundury, broń i karabiny maszynowe wyposażona?! Dlaczego nie przybywa?! Dlaczego słucha spokojnie jęków dzieci, ginących w męźnej obronie Lwowa?!

Ratunku — woła konający Lwów.

O czym tak myśli w nocie bezsenne Naczelnik Państwa? Czemu tak boleśnie zaciśnięte usta? Czemu tyle męki w szaro-stalowych oczach?

Sam, taki strasznie sam, a wokoło niego nienawiść, potworne oskarżenia, rzucane przez prawicę, że Lwowa bronić nie chce.

Lwów... Zdaje się Wodzowi, że skargi dzieci lwowskich słyszy, w obronie miasta zabijanych. Przed oczyma stają, głodni, w łachmanach, bez znajomości karabinów — żołnierze polscy, żołnierze, którymi dowodzi. Tyle już razy listy błagalne słał o pomoc do Francji — tyle już razy. Nadaremno... wie, że armja Hallera nie przyjdzie i wie dlaczego.

Prezesem Polskiego Komitetu Narodowego w Paryżu jest Roman Dmowski — jego nieprzejednany wróg. A armja Hallera czeka rozkazu wymarszu, czeka rozkazu Komitetu Narodowego.

Kona kresowe miasto... Ginę orlęta lwowskie, leje się krew najlepszych synów Ojczyzny.

Naczelnik Państwa, nienawiścią zewsząd otoczony. Padają oszczerstwa na jego siwiejącą głowę, pada potworne oskarżenie o zdradę Lwowa. Ale tego wszyst-

kiego jeszcze za mało: partja prawicowa, wraz z garstką arystokracji, zamach stanu na niego urząda. 95

Smutnie się uśmiecha Wódz na to wspomnienie.

Stłumił zamach w zarodku — mógł tych wszystkich nikczemników ukarać, ale nie, niech idą wolno; zbyt wielką czuje do nich pogardę, aby ich zabijać.

Lecz za co? za co ta nienawiść?

Serce szarpie nadludzki ból — za co to wszystko?

Lecz idzie dalej, idzie ze swymi bosymi żołnierzami, żołnierzami bez broni, idzie wpatrzony w Niepodległą Polskę.

Idzie i wykuwa swym mieczem granice Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

W niebieskim mundurze, w maciejówce, obrzucany błotem przez prawicę, uwielbiany przez żołnierzy, idzie wciąż naprzód z jedną, jedyną myślą, myślą która nie opuszcza go przez całe życie:

— Dla Ciebie Polsko!...

Zajaśniała gwiazda Naczelnego Wodza.

W triumfalnym pochodzie idzie wojsko polskie.

Stanęli pod Wilnem.

A przed ostateczną walką o to miasto powraca Wódz Naczelny myślą do legjonowych wspomnień. I wzywa dusze jasne swych legjonistów, których ciała w grobach spoczywają, wzywa ich duchy, by towarzyszyły jego żołnierzom w walce o Wilno.

I szepcze cicho:

— Spełniły się wasze marzenia... Wasz Komentant jest Wodzem Polski...

Dajcie mi Wilno na święto Wielkiejnocy³⁵).

Idzie w zwycięskim pochodzie wojsko polskie.
Oswobodzone Inflanty... Zajęcie Mińska, Bobrujska, Borysowa. Wolny Lwów i Małopolska.
Nilby słońce jaśnieje sława Naczelnego Wodza.

Wiesław Jaxa-Ziębiński, wraz z kilkoma leaderami partji narodowej, siedział przy restauracyjnym stoliku i prowadził poważną dyskusję.

Właśnie przyszła najświeższa wiadomość o zajęciu Mińska przez wojska polskie.

— Uważam, że powinniśmy przestać prowadzić tę wojnę, — zaczął mówić Witold Turkiewicz, gorliwy przywódca partji narodowej. Zupełnie nam ona niepotrzebna. Piłsudskiemu chce się wymachiwać szablą i dlatego prowadzi wojenną politykę.

— Macie słusność, kolego — podtrzymał go Ziębiński — ja twierdzę to samo. Uważam, że P. P. S. ma tym razem słusność, rzuciwszy hasło: precz z wojną.

— Walczy o Kresy — z uśmiechem politowania rzekł Ignacy Nieciegowski — a po cóż nam te kresy potrzebne? Dla nas wystarczy Warszawa.

— Słusznie, słusznie. Nie potrzeba nam królewiat kresowych... i tak już ich dostateczna ilość kręci się po stolicy, — zawołał niechętnie Ziębiński. — Wszyscy już jesteśmy znuzeni wojną, każdy woli obejrzeć się za jakąś dobrą posadą niż iść na front i nadstawiać karku dla fantazji Piłsudskiego.

— Oby tylko się to nie skończyło naszą zupełną przegraną, czego osobiście jestem pewien. Niema sił odpowiednich, by walczyć, — rzekł Wiktor Turkiewicz, pociągając łyk burgunda.

— Wogóle rządy Piłsudskiego nie podobają się ogółowi społeczeństwa, — zapewnił Ignacy Nieciegowski. 97

— I dlatego on się długo nie ostoi i my dojdziemy do władzy, a wtedy wszystko na dobre się zmieni, — zakończył dyskusję Wiktor Turkiewicz i znowu pociągnął łyk wyśmienitego burgunda.

— A wojska polskie szły ciągle naprzód, prowadzone przez ukochanego Wodza.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Porucznik Rościsław Młodzianowski wraz z kompanją swoich żołnierzy zbliżał się do Winnicy. Szedł po swojej ziemi; wracał, jak przyrzekł Bożence odchodząc, że wróci z wojskiem polskim na Kresy.

Wracał... do ziemi przodków swoich.

I krzyżeć mu się chciało do tych jarów podolskich, do lasów ciemnych, do ziemi czarnej, urodzajnej:

— Wracam do ciebie, ziemio kresowa; oto stąпам po tobie, ja, polski żołnierz, i ślubuję, iż cię już nie opuszczę.

Ziemio kresowa... Ty, kolebko rycerska, coś największych bohaterów dała Ojczyźnie — ziemio wierna zawsze Rzeczypospolitej, zdradą nie splamiona nigdy! Palona i niszczona, od najdawniejszych lat, przez Tatarów, Turków, kozactwo, zawsze pozostałaś niby bastjon niezdobyty polskości. Z twoich dworów szli młodzieńcy w 1863 roku, szli w walkę beznadziejną.

Z twoich dworów pędzono na Sybir. Tam, wśród śniegów Syberji, kresowcy często się rodzili. A w sercach jedno przykazanie: „Trzymaj polską ziemię“... Wracam do ciebie, ziemio wiecznie polska, ziemio kresowa, szepcze Rościsław. I myślą sięga w dalekie dziecięce lata: pamięta, jak pytał o ojca, smutną, zapłakaną matkę. Dobrze jeszcze mówić nie umiał, gdy wiedział już — Tatuś na Syberji.

Nigdy nie widział ojca. Gdy miał lat czternaście, dowiedział się, że ojciec umarł daleko, w tajgach Sybiru, na zesłaniu.

Idąc teraz po ziemi kresowej, w mundurze oficera polskiego, z orzełkiem srebrnym na czapce, myślał smutnie: czemu ojciec chwili wskrzeszenia Polski nie dożył? Dlaczego nie było mu dane ujrzeć na kresach wojska polskiego?

Wstań z grobu, stary Sybiraku. Oto Orzeł Biały leci — wstań, zobacz Polskę i módl się do niej!

Im bardziej Rościsław się zbliżał do rodzinnych stron, tem większym lękiem ścisnęło się serce. Zamiast dworów sterczały ku niebu ruiny, żyzne niegdyś pola stały ugorem.

Pusto, głucho na podolskiej ziemi.

Gdzieś tylko na zgliszczach tułał się pies, gdzieś jakieś kości widniały. Któregoś dnia dotarł do majątku Strumińskich.

Nic — tylko zgliszcza i ruiny.

Tak blisko od Strumiłowa był Śniechów, a w nim — Bożenka.

Co się z nią stało? Czy uciekła? A jeśli nie? to...?—

98 Wolał nie myśleć — nie myśleć.

Nocą, gdy żołnierze usnęli, Młodzianowski dosiadł 99
konia i popędził w stronę zaledwie kilka kilometrów
odległego Śniechowa.

Musi, musi koniecznie wiedzieć prawdę. Nie my-
ślał o tem, że się naraża na niebezpieczeństwo, pędząc
tak naoslep, samotnie, wśród wrogo usposobionych
wiosek.

Nie widać zdaleka świateł, lecz może śpią?

Taka jasna, księżycowa, podolska noc, jak wtedy,
gdy zegnał się z Bożenką i słowa jej: Już cię więcej nie
zobaczę — zabrzmiały mu w uszach.

— To tu — szepnął, zatrzymując konia — tak, to tu!
Zgliszcza zamiast dworu — więcej nic..

Gdzie Bożenka? może uciekła, lecz jak się dowie-
dzieć?

Rozejrzał się dokoła: na uboczu, w dawnej oficyn-
nie, migotało światełko lampki.

Nie zastanawiając się, zeskoczył z siodła, przywią-
zał konia do walącego się płotu i podszedł do drzwi
oficyny.

Zastukał — nie odpowiedział nikt.

Pchnął energicznie drzwi, znalazł się w ciemnym
przedsionku. Z sąsiedniego pokoju, przez szparę, pa-
dało nikłe światło.

Bez namysłu wszedł.

Jakaś postać podniosła się na jego widok z łóżka,
z łóżka — barłogu.

Nikłe światło palącej się przed obrazem Chrystusa
oliwnej lampki, oblewało chudą żółtą twarz i łysą
czaszkę. Koło ust i na brodzie sterczały kępki siwych
włosów.

Oczy, pełne zwierzęcego przerażenia, patrzyły na
Rościsława... nagle:

— O Jezu, panicz Młodzianowski! — Chuda, wynędzniała postać przypadła do nóg Rościszława.

— Iwan! — zawołał, podnosząc z ziemi starego sługę Śniechowskich. — Iwan, gdzie państwo?!

Głowa i ręce Iwana trząść się zaczęły.

— Niema, niema nikogo, i pana i detyny...

— Uciekli?

Milczenie.

— Mówże na Boga, Iwan, uciekli?!

— Uciekli, tylko, że... do ziemi.

— Nie żyją?!

Iwan spojrział smutnie na Rościszława:

— Usiądźcie paniczu, opowiem, jak to wszystko było.

Bezmyślnie usiadł na jakimś stołku. Już wiedział... wiedział, że Bożenka nie żyje. Tak spokojnie słuchał monotonnego głosu Iwana, tak spokojnie.

— ...To, jak pan zobaczył, że już są za drzwiami, kazał się modlić panience, a potem rewolwer do piersi klęczącej przyłożył i strzelił. Nawet nie jęknęła — ze złożonymi do modlitwy rękoma skonała. A pan wtedy strzelił do siebie... I zaraz chłopci wpadli do dworu. Oj hulali tej nocy, paniczu, hulali... nad ranem podpalili dwór. Tak, razem z trupami panienki i pana, wszystko spalili. Niema nic. Ja tu mieszkam — pozwolili, tylko, że już pilnować nie ma czego. A panicz to co, w woj-sku?

Rościszław patrzy tępo na Iwana — nie odpowiada. Jedna myśl pali mózg: Bożenka nie żyje. Nie zobaczy jej już, nie zobaczy. Daremnie powrócił.

— Iwan, to ich ciała spalono?

— A tak, paniczu.

Rościśław wychodzi z oficyny, idzie tam, gdzie sterczą zgłiszcza, światłem księżycowem oblane. Sta-
je — to tu grób pana Jacka i Bożenki.

Bożenka — umiłowanie całego życia — świętość.
Bożenka na zawsze stracona.

Na froncie cały czas o niej myślał, jej złoty krzy-
żyk na piersiach nosił, jej modlitwy od kul go chro-
niły.

Niema Bożenki.

Czyż nie lepiej kulę w serce sobie wsadzić i tu,
gdzie jej prochy, skonać?

— Oddaję cię Polsce...

Kto to powiedział?

— Oddaję cię Polsce, — zabrzmiały w uszach Ro-
ściśława ostatnie słowa Bożenki.

Polsce...

Upadł na kolana:

— Ojczyzno! Przebacz mi tę chwilę słabości, prze-
bacz, ale serce tak boli. Spełnię do końca mój ślub:
idę bronić Cię, Polsko.

Przeżegnał się, powstał z kolan, zbliżył się do ko-
nia, wskoczył na siodło i pomknął śpiącymi polami
w księżycową cichą podolską noc.

Tam, gdzie przed wiekami król Bolesław mieczem
w Złotą bramę uderzył, stały wojska polskie.

Kijów zdobyty.

Naczelnny Wódz wyciąga dłoń bratnią Ukrainie,
rzucając cudne hasło: „Równi z równymi, wolni z wol-
nymi“.

Wskrzyszona tradycja Jagiellonów!

Armja ukraińska walczy ramię przy ramieniu
z armją polską, walczy przeciwko Rosji.

Lecz naczelny wódz Józef Piłsudski ściągnięte boleśnie ma brwi.

Opinia sejmu przeciwko niemu — zajadłe niesprawiedliwe zarzuty, że przedłuża wojnę „dla nieznanych celów“; zarzuty te bolą, bolą okropnie.

I znowu pytanie: za co? dlaczego?

Czyż nie rozumieją, tam, w stolicy, jego koncepcji?! Czyż nie rozumieją, że przyciągnięcie ku sobie Ukrainy, to straszny, niepowetowany cios dla Rosji? Czyż są takimi głupcami?! A może tylko podłymi?!

Posiłków, trzeba posiłków; lecz nadaremnie wrócił do Warszawy, by błagać, tłumaczyć — odmówiono.

Musi radzić sam.

Nietylko sejm przeciwko niemu, lecz i większość społeczeństwa. Nie rozumieją jego mocarstwowego czynu, nie rozumieją³⁶.

A międzynarodówka komunistyczna skupia swe siły przeciw Polsce.

Czyż nikt tego nie dostrzega, że się zbliża fatalny bój o śmierć lub życie?

Czyż tego poza nim nie widzi nikt?!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Załamał się front. Cofają się wojska polskie.

Trwoga i zwiątpienie opanowuje sfery kierownicze.

Opuszczone przez Europę młode państwo polskie musi się bronić samo, gdyż z ratunkiem nie śpieszy nikt.

Francja, ta Francja, której tak zawsze Polska wie- 103
rzyła, przysłała generała Weyganda i tysiąc oficerów.

To była cała pomoc, dana przez Europę Polsce.

Dnia 19 lipca 1920 roku zwołuje Naczelnny Wódz posiedzenie Rady Obrony Państwa.

Stoi dumny, niezłomny, w ogniu oskarżeń. Z pod krzaczastych brwi patrzą surowo na zebranych szaro stalowe oczy.

Słucha zarzutów co do błędów w organizacji wojska. Słucha, a gdy zapadła cisza, mówić zaczyna:

— Błędy i wady w organizacji wojska, jakie wymieniono, znam. Znam ich dużo więcej. Największy błąd, że jesteśmy bici. Znając wady, jednocześnie wiem, że tylko z tem wojskiem, jakie jest, mogę i muszę zwyciężyć, gdyż innego wojska nikt mi nie da. Zwycięstwo zależy w $\frac{3}{4}$ od wojska i społeczeństwa. Zamiast wiary i otuchy, dajecie obraz waśni, kłótni i rozbitcia. Stoicie nad przepaścią, już jutro może zaczniecie się wyrzynać. Nie wiem, jakimi słowy mam was natchnąć duchem pojednania i skłonić do zgody. Jeżeli jest potrzebna do tego moja śmierć, to gotówbym sobie w łeb wypalić, abyście zrozumieli, że to już ostatnia chwila do ratunku, że musicie się zjednoczyć i dać temu wyraz w stworzeniu silnego rządu.

Mogę i muszę zwyciężyć! ³⁷.

Nareszcie te słowa: — Jeżeli jest potrzebna do tego moja śmierć — poruszyły sumienia i w dniu 24 lipca powstaje rząd jedności narodowej.

A w całej Polsce jedno jedyne brzmi słowo:

— Wszyscy na front!

Wstaje upalny lipcowy dzień. Promienie słońca wpadają do sali szpitalnej.

Rząd białych łóżek, na poduszkach umęczone głowy.

Ktoś bredzi w gorączce, ktoś jęczy.

Szeroko otwartymi oczami patrzy w jeden punkt białej ściany Rościśław Młodzianowski.

Jak to się stało? Tak trudno powiązać myśli, tak trudno wszystko przypomnieć.

Prowadził do ataku i raptem poczuł uderzenie w pierś, zachwiał się, szedł jeszcze chwilę dalej, a potem na oczy spadła ciemność, usłyszał jakiś krzyk: — Jezu! — Czy to krzyknął on?

Nic już nie pamięta.

A teraz ta biała sala. Z trudnością odwrócił głowę: na sąsiednim łóżku siedział opatry o poduszkę młody mężczyzna. Jego czarne duże oczy patrzyły z jakimś wielkim, przeogromnym smutkiem. Widocznie wyczuł na sobie uporeczywy wzrok Rościśława, gdyż spojrzął na niego i z uśmiechem na wąskich bladych ustach, zapytał:

— No cóż, kolego, oprzytomnieliście?

— Tak — odparł cicho — ale chciałbym się dowiedzieć, gdzie jestem?

— W szpitalu Ujazdowskim, w Warszawie, a obok was spoczywa rotmistrz Zdzisław Podbielski — w mojej osobie.

— Porucznik Rościśław Młodzianowski, — odpowiada machinalnie, jednocześnie myśląc: więc jest w Warszawie. I nagle troska zasepia mu czoło:

— Może macie wiadomości z frontu? — pyta, patrząc z niepokojem w twarz rotmistrza Podbielskiego.

— Smutne to wieści, kolego. Bolszewicy zbliżają się pod Warszawę. 105

— Więc tak blisko są bolszewicy?!

— Cóż z tego? Ale Wódz Naczelny wierzy w zwycięstwo! Nie zachwiał się w swojej wierze. A wiecie, że tak go pomniejszają. Nigdy go nie rozumieli, ale on idzie zapatrzony w jeden cel — w zwycięstwo.

Rościsław myśli: więc już kresy nie nasze! Więc zabrano tę rdzennie polską ziemię! A horda bolszewicka zbliża się do serca kraju. Jakże boli ta myśl, jak strasznie boli! Mocno bije serce w ciężko zranionej piersi Rościsława. Lepiej było nie dożyć tej chwili. Czemuż kula nie trafiła w serce. Po bladej wychudłej twarzy staczają się powoli łzy.

Jakby gdzieś zdaleka, z za mgły, dochodzą słowa:

— A są jeszcze ludzie, którzy słowa potępienia na Wodza Naczelnego rzucają! I zapytać ich, za co?! Za co nienawidzą tego, który Polskę stworzył?

Tak, za co? chyba za to, że ukochał ojczyznę nadewszystko.

Dawne wspomnienie napływa do duszy Rościsława.

Pamięta.

To było nad Stochodem, gdy po raz pierwszy Go zobaczył.

Szaro-stalowe oczy patrzyły z pod daszka maciejówki, a w oczach tych była przeogromna dobroć. Cóż dziwnego, że czcili go żołnierze? Czyż kto rozumiał tak ich ciężką dolę, jak Komendant?

Szedł z nimi razem na poniewierkę, na głód i chłód.

— Hej, hej Komendancie, miły Wodzu mój!

Komendant, ukochany Komendant błotem, znie-
wagami obrzucany.

Po twarzy Rościszława niepoohamowanie płyną łzy.

Noc.

Pali się światło w oknie Belwederu.

Samotnicza męka rwie na strzepy duszę Naczelnego
Wodza.

Wróg u bram Warszawy.

Pochyliła się nad papierami posiwiiała w bojach
głowa.

Plan, plan obrony.

Oto odrzucił plan generała Weyganda.

Nie, nie powtórzy Marny nad Wisłą!

Ręka kreśli jakieś znaki na rozłożonym papierze.

Duma, duma nad obroną kraju Naczelnny Wódz.

Taki sam, taki straszliwie sam. Nie! — modlitwy
Matki unoszą się nad mądrą głową, która modli się
przed tronem Stwórcy o swego „małego Ziuka“. A wo-
kół niego stają postacie tych jasnych świetlistych du-
chów, które, jak on, oddały swe życie Polsce: Trau-
gutt, Sierakowski, Okrzeja i tylu nieznanym imion
poległych w bojach legionistów. Legjoniści — jego
żołnierze, których tam, na kresach, zezwierzęceni chłó-
pi żywcem ze skóry obdzierali. Kresy — krwawemi
łzami płaczą Kresy, zbezczeszczone przez potworne
hordy bolszewickie.

Otoczają Naczelnego Wodza jasne postacie du-
chów i jakiś dziwny szept płynie w cichym Belwede-
rze:

— Ty jeden uratujesz Polskę.

Czy to szept duchów, czy szmer drzew za oknami?

Patrzą w ciemność nocy szaro-stalowe oczy, a w **107**
myślach zarysowuje się nagle genialny plan.

Zwycięży, tak, zwycięży!

Pali się światło w oknach Belwederu.

Naczelny Wódz tworzy obronny plan.

Wszyscy na front!

Tak, poszli wszyscy.

Przy czternastoletnim chłopcu stanął osiwiiały mężczyzna, przy robotniku — ziemianin. Poszli wszyscy!

I rozgorzał bój, zdawałoby się beznadziejny, z o wiele silniejszym wrogiem.

Ale piersi polskich żołnierzy ukochaniem Ojczyzny były przepelnione, ale ich prowadził genjusz Naczelnego Wodza, a nad nimi płynęły jasne duchy.

Królowa Korony Polskiej patrzyła z błękitów!

I popłoch padł w armjach bolszewickich.

W bezładnej ucieczce cofały się dywizje sowieckie.

Triumf oręza polskiego zabłysnął jak przed wiekami.

Dalej naprzód idą w karnym orydyunku polskie szeregi, a na czele On idzie i kreśli swą szablą granice Polski, nie patrząc, co powiedzą na to czynniki międzynarodowe.

I znowu poleciała wdał stara legjonowa piosenka:

„Jedzie, jedzie na kasztance, siwy strzelca strój,
Hej, hej Komendancie, miły Wodzu mój!“

Dnia 18 października 1920 roku podpisano rozejm z Rosją.

Ostatni akt, zamykający wojnę, był dziełem Polski i Jej Naczelnego Wodza.

Myśl Naczelnika Państwa pracuje intensywnie.

Wilno, ukochane Wilno jeszcze nie jest polskie, lecz musi powrócić do macierzy to prastare miasto.

Jakaż gorycz przepelnia duszę, że trzeba zdobywać Wilno okreżną drogą, niby nocną kontrabandą, korzystając z feryj sejmowych. No tak! bo przecież zgody na walkę o Wilno sejm nie da.

Cicho, bez wiedzy sejmu, wyrusza na Wilno generał Żeligowski z podległymi sobie pułkami.

Biją się Polacy w wąskich, starych uliczkach — ucieka wróg.

Wilno, wiecznie polskie miasto, powróciło do swej macierzy.

Na pułki wkraczające do miasta, pułki polskie, patrzy łagodnie z obrazu Panienska Ostrobramska i dłońmi skrzyżowanymi zdaje się błogosławić żołnierzy.

Drżące ręce, utrudzone w bojach, zdejmują z głów wojskowe czapki.

— Dalaś nam Wilno, Panienko Ostrobramska, — szepczą usta zahartowanych w walkach żołnierzy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Sejm radzi.

Ciągną się w nieskończoność konstytucyjne rozprawy.

Rzucają pod nogi Weyganda laury. To on przecież obronił Polskę — Naczelnik Państwa nie zrobił

Tak — Polskę wyratował Weygand, a poza tem stał się cud nad Wisłą. I wznoszą ołtarz Bogu, budują ten ołtarz z kamieni, rzucanych na Naczelnika Państwa.

Ciągną się rozprawy nad konstytucją; przechodzi najważniejszy punkt: ograniczenie władzy prezydenta. To bardzo ważne, bo przecież Piłsudski może prezydentem zostać.

Straszmem rozczarowaniem jest dla Naczelnika Państwa oblicze sejmu. Jakże innym widywał go w marzeniach!

Gdy żołnierze padali w walce z nieprzyjacielem, ci wszyscy, którzy byli skupieni w sejmie i wokół sejmu, dzielili się zdobyczami walki pomiędzy sobą, mówiąc głośno, że Polskę stworzyły tylko państwa obce.

Jakże boli ta potworna oligarchja sejmowa, jak bardzo boli.

Przyszła jesień 1922 roku.

Sejm dogorywał wśród gadulstwa i walki z Naczelnikiem Państwa, o niczem innem nie myśląc, jak tylko o odarciu z władzy i znaczenia głowy Państwa.

A jakże się zdziwili, gdy Naczelnik zrzekł się kandydowania na prezydenta Rzeczypospolitej. Tego się co najmniej, nie spodziewali.

W grudniowy, szary, posepny dzień został obrany na pierwszego prezydenta Polski Gabriel Narutowicz.

Odkrytym powozem, eskortowanym przez szwadron szwoleżerów, jechał do sejmu składać ślubowanie pierwszy Prezydent Rzeczypospolitej.

Nagle, na rogu ulicy Pięknej, rozległy się wrogie

okrzyki, tłum studentów czepiał się kół powozu, chwycił za uprzęż koni.

— Nie chcemy, nie dopuścimy! — padały wrogie okrzyki.

Z mądrej twarzy Prezydenta spojrzwały na ten tłum poważne, myślące oczy.

Dlaczego ta nienawiść? Czyż dlatego, że jest przyjacielem Józefa Piłsudskiego?

Wstępną rolę w duszy do tego rozkrzyczanego tłumu. To może ten sam tłum obiał łaskami starca Limanowskiego, idącego do sejmu na głosowanie?

Tak — to ten sam tłum, którego nie powstrzymały siwe włosy wielkiego patrioty, walczącego w dniach niewoli o Polskę!

Te same ręce, które obiał pałkami Limanowskiego, czepiają się teraz pojazdu prezydenta Rzeczypospolitej.

„Vernissage“ w Zachęcie.

Jasne sale, pełne obrazów mistrzów — patrzą ze ścian rycerze, genjuszem pędzła Matejkowego na płótna rzuceni.

Jakieś szczególne poruszenie widoczne w salach.

Nic dziwnego — przybędzie Prezydent Rzeczypospolitej.

Po szerokich marmurowych schodach wchodzi ten, który jest głową odrodzonego państwa. Otaczają go ministrowie, widać mundury wyższych wojskowych, korpus dyplomatyczny lśni złotem i srebrem swoich mundurów. Na sali nie brak i pięknych pań, chcących zobaczyć zbliska Prezydenta.

Poważny Pan, ze wstęgą orła białego, zatrzymuje się przed jednym z obrazów i nagle — suchy odgłos strzału rozległ się w jasnej sali. 111

Prezydent zachwiał się, jakby ze zdziwieniem spojrzął wokoło i runął na posadzkę.

Pierwszy Prezydent Polski, ugodzony kulą z ręki Polaka, skonał.

Zabity!

Głęboka boleść wyżłobiła dwie brózdki na twarzy Józefa Piłsudskiego.

Zabity Prezydent odrodzonego Państwa, zabity przez Polaka! Zbryzgana krwią konstytucja, niewinnie przelaną krwią!

A kula ta, która przerwała pasmo życia Najwyższego Dostojnika, była przeznaczona dla niego. Miał zginąć z ręki swego narodu.

Bolesny skurcz ściąga krzaczaste brwi.

Więc zabijcie, czemuście nie zabili?! woła coś w duszy rozpacznie.

Niech przestanie bić to serce, które nad wszystko Polskę ukochało. Zabijcie! Bo męka ta, która targa duszą, już nad siły, nad siły ludzkie!

Staje przed oczyma krwawe widmo pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej.

„Chciałem iść tą drogą, którą mi za cel wskazałeś i zginąłem!“ szepcze zjawa.

— Zginąłeś! Tak — Polacy umoczyli ręce w krwi swego dostojnika.

Rozpaczna błąka się myśl: to on miał zginąć, a zginął za niego ktoś inny!

I nie wstydzą się tego, chociaż tamten nie dźwigał tej odpowiedzialności, którą on ma. Jakiś potworny duch Wschodu opętał naród. Może za jego uczynki ktoś zastrzelił mu córkę? Czy ona ma odpowiadać za ojca? Na zgubę idzie dusza narodu, na zatracenie!

Kto uratuje tę duszę? Kto ją wyniesie z jaskini, zbryzganej niewinną krwią?

Ludzie, czyście poszaleli, że podnieśliście rękę na swego Prezydenta?!

Ale to przecież nie dla niego przeznaczona była kula.

To miał zginąć ten, który Polskę nad wszystko ukochał!

Za co?! Za to właśnie miał zginąć!³⁸

Dzwonią kościelne dzwony.

Stolica chowa swego Prezydenta.

Ulicami posuwa się kondukt żałobny. Czarne konie ciągną karawan, a na szczycie trumna, sztandarem przykryta.

Słabem światłem płoną latarnie, kirem osłonięte. Powoli, krok za krokiem, posuwa się kondukt.

Tak cicho, martwo na ulicach, tak mało przechodniów. Pada mokry, lepki śnieg i przemienia się w błoto.

Takiem błotem obrzucają pamięć tego, który spoczywa w trumnie. Już go to nic nie obchodzi, że jego zabójcę świętym robią, że moralni sprawcy, przez których zginął, występują jako triumfatorzy chwili, wołając głośno: — Ciszej nad tą trumną!

Triumfują ci, którzy unurzali ręce w jego krwi. **113**
On cichy, spokojny w swej trumnie, jedzie na wieczny
spoczynek, gdzie już nie dojdą potworne okrzyki,
gdzie już będzie spokój.

Głośno, ponuro, biją kościelne dzwony.

Mijają dni, pełne goryczy, smutku.

Coraz boleśniej sze zmarszczki zarysowują się na
twarzy, coraz smutniej patrzą szare oczy.

Źle się w Ojczyźnie dzieje.

Patrjoci w niełasce — wyśmiewani. Prochem za-
pomnienia przysypuje się tych, którzy o Polskę wal-
czyli.

Pielgrzymki idą na grób Eligjusza Niewiadomskie-
go, zabójcy Prezydenta.

Świętym Polski go robią!

Prywata święci triumfy, a na siwą głowę tego, któ-
ry Polskę stworzył, zniewagi i oszczerstwa rzucają.

Zdaje mu się, że jakiś cień biegnie koło niego, cień,
który ściga i prześladuje.

Cień „potwornego karła na krzywych nóżkach“³⁹,
który nie szczędził niczego. Opluwa go zewsząd.

Potworne kłamstwo — reprezentant narodu krad-
nie! Naczelny Wódz zdrajcą kraju podczas wojny!

Tak, trudno: Wódz musi iść w błoto.

Nowy prezydent, Stanisław Wojciechowski, jest
pod terorem partji. Triumfuje sejm: całą władzę ma
w ręku, zawarł pakt nad trumną Narutowicza.

Szajka uchwyciła ster rządu w Polsce.

I on ma ich bronić, bronić jako żołnierz?!

Nie! Żołnierzem być już dłużej nie może.

A więc dymisja — trzeba prosić o zupełne zwolnie-
nie z wojska.

Tylko, że taki niepokój szarpie o ukochane dzieło życia, taki niepokój o wojsko polskie i jego honor.

Trzeciego czerwca, w sali Malinowej Bristolu, zebrała się grupa ludzi. Żegnano dawnego Wodza Naczelnego.

W sali Malinowej zabrzmiały spokojne słowa:

— Nie chcę wywołać efektu tragizmu, chcę tylko stwierdzić, że błoto jest i że ma ono powagę i znaczenie w Polsce. Nie oskarżam nikogo, nie jestem ani prokuratorem, ani sędzią śledczym, szukam jedynie prawdy. Co do siebie, proszę o wielki, wielki odpoczynek⁴⁰.

Ten, który 36 lat walczył o Polskę, ten, który był więźniem, tułaczem, żołnierzem, zwycięzcą i Wodzem — poszedł na wygnanie.

Nie zabrał z sobą nic, nie żądał od ubogiego państwa nic.

Pensję swą oddał na wdowy i sieroty po poległych legionistach i Uniwersytet w Wilnie.

Cichy Sulejówek da mu do śmierci spokojny kąć, a siebie i rodzinę utrzyma z pracy piśmienniczej.

Mały biały dworek ukrył wśród swoich ścian tego, który życie swe Ojczyźnie oddał, a teraz na wygnanie poszedł.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

— Proszę panienki, już dziesiąta godzina.

Rysia Gryf-Borzęcka patrzy zaspanemi oczyma na pochyloną nad nią pokojową.

— Czemu mnie budzisz? — rzekła z niezadowo-

leniem, unosząc z poduszki zgrabną głowę, otoczoną ciemnymi lokami. 115

— Przecież panienska wczoraj kazała się obudzić o dziesiątej, bo o jedenastej miara sukien u Myszkowskiego.

— Ach, prawda. No to podaj śniadanie, Andziu.

— Już przyniosłam, proszę panienski.

Rysia przeciągnęła się, ziewnęła, usiadła na łóżku i wyciągnęła rękę po filiżankę kawy, stojącej na stoliczku.

— Kapiel gotowa?

— Tak, proszę panienski.

— A jaka pogoda?

— Ciepło zupełnie, jak na styczeń, i śliczne słońce, proszę tylko spojrzeć.

Mówiąc to, Andzia podniosła w oknie roletę.

Rysia skrzywiła się:

— Słońce! masz się czem zachwycać! Czy to nie wszystko jedno: słońce, czy deszcz? Byleby mrozu nie było, bo na mrozie czerwienieje mi nos, a nie lubię jak brzydko wyglądać.

— A czyż panienska może kiedy być brzydka? Co też panienska mówi! — wykrzyknęła z oburzeniem Andzia.

Rzeczywiście, ta jej panienska była śliczna. Miała twarzyczkę o rysach klasycznych, obramowaną ciemnymi lokami, które wydawały się jeszcze ciemniejsze przy białej jak alabaster cerze. Z pod równo, jak strzały, zarysowanych brwi, patrzyły przesłiczne czarne aksamitne oczy. Ponsowe usta, o nieskazitelnym rysunku, były linją rozkapryszczenia wygięte.

— Serjo, Andziu, uważasz, że nigdy brzydko nie mogę wyglądać? — rzekła Rysia, pijąc wolno kawę.

— Pewnie! Takiej drugiej ślicznej panny w całej Warszawie niema! Nie dziw, że wszyscy panowie w panience się kochają, ale najwięcej to chyba pan Sep-Szarzyński i rotmistrz Podbielski.

Równo zakreślone brwi Rysi ściągnęły się z niezadowolaniem.

— Moja Andziu, nie mów mi nigdy o panu Podbielskim.

— Dobrze, proszę pani, — posłusznie odparła pokojowa.

Rysia odstawiła pustą filiżankę i zeskoczyła z łóżka. Przez cienki różowy jedwab nocnej koszulki rysowało się o pięknych linjach jej ciało.

Wsunęła drobne nóżki w jedwabne, białem futerkiem przybrane, ranne pantofelki i, ziewając, poszła do łazienki.

Zanurzwszy się w ciepłej, pachnącej perfumami wodzie, zaczęła rozmyślać o tem, jak też wypadnie ta zielona balowa toaleta, jaką zaprojektowała dla niej wszechwładna directrice w sklepie Myszkorowskiego, pani Jadwiga.

Narzucając w przedpokoju srebrne popielice, Rysia usłyszała głos matki:

— Wychodzisz, córeczko?

— Idę do Myszkorowskiego, Mamusiu, ale przedtem wstąpię jeszcze do Tatusia — obiecał dać mi dzisiaj większą sumę pieniędzy.

— Ja również wychodzę, Rysiu.

— No, to pójdziemy razem. Ładnie ci w tych fokach, Mamusiu, wydajesz się zaledwie trzydziestoletnią kobietą — mówi, patrząc na matkę — mogłabyś jeszcze niejednego mężczyznę uwieść.

— Co też ty mówisz Rysiu—jakie masz niesmacz- 117
ne wyrażenia.

— Niesmaczne! — Rozbawionemi oczami spojrzała Rysia na matkę. — Nazywasz to niesmacznem, co dzisiaj wszystkie kobiety robią. Wątpię czy znajdzie się wśród naszych znajomych chociaż jedna, któraby nie spędzała czasu na flirtach.

— Rysiu!

— Oczywiście, z wyjątkiem ciebie, Mamo, ale Ty wogóle masz pojęcia z ubiegłego wieku!

Nie odpowiedziała nic córce.

Tak bardzo się z sobą różniły, że nie umiała nawet rozmawiać ze swym dzieckiem.

Milcząc, zeszły ze schodów, milcząc — wyszły na ulicę.

— Gdzie, Mamusiu, idziesz? — zapytała po dłuższym milczeniu Rysia.

— To cię tak mało obchodzi, córeczko. Idę na posiedzenie Towarzystwa Pomocy Dzieciom z Kresów.

Rysia pogardliwie wydeła usta:

— Ciągle te różne towarzystwa! Co Ciebie, Mamo, może tam interesować?

Smutny uśmiech przesunął się po ustach Miry.

Dlaczego to jej dziecko jest takie inne od niej? Dlaczego nie ma żadnych ideałów? Kto tak spaczył tę młodą dziewczynę, że o niczem innem nie myśli, tylko o strojach i zabawach?

— Powiedz ze mi, Mamo, co Cię tam interesuje? — powtórzyła znowu pytanie Rysia.

— Widzisz, Rysieńko—odparła spokojnie—mnie praca społeczna interesuje i pochłania, jak ciebie na przykład bale.

— Dziwne masz gusta, Mamusiu.

— A dla mnie, Rysieńko, twoje gusta są dziwne, Jak możesz znajdować cel w życiu tylko w zabawach?

Rysia, najnieoczekiwanej w świecie, roześmiała się:

— Wiesz, Mamo, że Ty strasznie podobnie mówisz do Podbielskiego. On mi także ostatnio tłumaczył, że są wzniosłe wielkie cele, że trzeba dla Ojczyzny pracować i t. d. Nudny jest, okropnie nudny. Wyobraź sobie, Mamo, siedzę z nim parę dni temu w buduarze. Półmrok, bardzo nastrojowa chwila, on zamyślony, smutny — oczekuję, że zacznie mówić o miłości. A nie byłoby to dla mnie przykre, bo Podbielski ładny. Raptem słyszę ciche westchnienie; pytam go o powód smutku, a on, wiesz, Mamo, co powiedział?! Że rozpacz go ogarnia na myśl, co się w Polsce dzieje, że to zbrodnia, by Piłsudskiego usunąć z polityki, no i w tym sensie mówiłby jeszcze długo, gdyby nie to, że, znudzona, przerwałam mu te wywody, prosząc, by — jeżeli chce nadal u nas być — nie prowadził dyskusyj politycznych.

— Czy cię naprawdę tak nic nie obchodzi Ojczyzna?

— Och, Mamo, nie mówmy o tem, bo to mnie tak strasznie nudzi. Co mnie może obchodzić, kto rządzi? Czyż to nie wszystko jedno? Chcę się bawić, używać życia, flirtować i tańczyć, tańczyć! Ojczyzna, polityka? co mnie to wszystko obchodzi?! Ale oto już i bank. Pa, Mamusiek. Na obiad wróć.

Rysia weszła po szerokich marmurowych schodach do banku.

Woźni kłaniali się jej nisko, wiedząc, że jest córką dyrektora.

Gdy się znalazła przed drzwiami gabinetu ojca, zastukała i, nie czekając odpowiedzi, uchyliła drzwi. 119

Uśmiechnęła się.

Może zbyt prędko odskoczyła od biurka młoda sekretarka jej ojca — tak, stanowczo zbyt prędko. A jakie wykwitły rumieńce na jej bladej ładniutkiej twarzyczce!

I papa coś troszeczkę speszony.

— Przepraszam, Tatusiu, może przeszkadzam?

— Nie, cóż znowu, Rysiu. Panno Halu — zwrócił się do sekretarki — proszę mi później przynieść te papiery do podpisu.

— Słucham, panie dyrektorze. I zgrabna postać sekretarki zniknęła za drzwiami.

— Przyszedłś po pieniądze, Rysiu, prawda? — zapytał córkę pan Ludwik Gryf-Borzęcki.

Był to jeszcze w sile wieku mężczyzna, przystojny, wytworny, o siwiejących na skroniach włosach. Jego gładko wygolona twarz miała wyraz jakiegoś znużenia. Nie czekając na odpowiedź córki, zbliżył się do kasy ogniotrwałej, otworzył ją i wyjął kilka papierków pięćsetzłotowych.

— Masz, ale zaznaczam, że to ci na cały karnawał musi wystarczyć.

— Dziękuję, Tatusiu — odparła, chowając do torebki pieniądze — i uciekam, bo na pewno przeszkadzam. Mówiąc to, dotknęła ustami policzka ojca i prędko wyszła.

Musiała się śpieszyć, by się nie spóźnić na oznaczoną godzinę do Myszkorowskiego.

Mierząc piękną toaletę i przeglądając się w lustrze, myślała o tem, czy ojciec obdarza sympatją sekretarkę.

Nie widziała nic w tem złego. Cóż z tego, że miał ładną i jeszcze młodą żonę? Zmiana, od czasu do czasu, dobrze robi. A poza tem, Mama tak była nudna z tą swoją pracą społeczną.

— Radzę do tej tualety sortie srebrne z czarnemi lisami — odezwała się pani Jadwiga, pilnująca mierzenia sukni.

Rysia się ożywiła.

— Tak pani sądzi? A czy nie lepiej, gdyby sortie było z gronostajami?

— Nie, proszę pani. Żadne futro tak, jak czarne lisy, nie podkreśli śnieżnej karnacji pani cery.

— Więc niech będą czarne lisy — zdecydowała Rysia i z uznaniem spojrzała na swą śliczną postać, odbijającą się w lustrze.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

W małym pokoiku na poddaszu siedział zamyślny smutnie Rościśław Młodzianowski. Ciężka praca podrzędnego biuralisty wolno lecz nieubłaganie niszczyła jego stargane na wojnie zdrowie.

Płuca, po ciężkiej ranie, nie mogły już powrócić do normalnego stanu. Coraz częściej pluł krwią.

Gdyby mógł chociaż na miesiąc wyjechać w góry! Ale to było nieziszczalnem marzeniem.

Z tych groszy, jakie zarabiał, mógł się zaledwie utrzymać, prócz tego groziła mu ciągle redukcja. Był przecież legjonistą, czcicielem Piłsudskiego, a to dostateczne powody do usunięcia z posady.

Jakżeż daleki wydaje się Młodzianów!

Spokojne życie wśród ukochanych lasów i pól...
Ziemia pradziadów, ziemia na zawsze stracona.

Wszystko minęło jak sen.

Biały dwór szlachecki, poważne twarze ze starych portretów, sad w słońcu skąpany, ciemny las... Pan Jacek z nieodstępłą fajeczką.. Bożenka...

Wszystko stracone, wszystko.

A on, potomek starego rodu, ciężko na chleb zarabiać musi, bo w Ojczyźnie, o którą walczył, zabrakło dla takich jak on miejsca.

Z wojska wyjść musiał, gdyż z choremi płucami żołnierzem być nie mógł, a posady dobrej nie otrzyma żaden legjonista.

Walczyłeś o Polskę — to wtedy byłeś potrzebny, a teraz marsz w kąt, w zapomnienie, tak jak w zapomnienie odszedł twój Wódz.

Gorzko, smutnie, boleśnie.

Niechby już śmierć rychlej przyszła, ale jeszcze pewnie długo trzeba będzie kaszlać krwią, nim nadejdzie wieczne ukojenie.

Ktoś zastukał do drzwi.

— Proszę — powiedział i twarz mu się rozjaśniła, gdy spojrział na wchodzącego.

Zdzisław Podbielski! Sąsiad z sali szpitalnej, później przyjaciel.

On jeden nie zapomniał — on jeden odwiedza.

— Jakże ci dziękuję, żeś przyszedł — rzekł, ścisłkając serdecznie dłoń Podbielskiego.—Siadajże, opowiedz, co słyhać u ciebie.

— A no nic, jestem ciągle rotmistrzem, bo teraz żaden legjonista nie awansuje. Ale jakoś człowiek żyje, gorsze to, że idziemy ku zagładzie.

— Tak, i ja to widzę. Wszędzie nic, tylko przekupstwo. A nasz sejm? Poszedłem raz na posiedzenie sejmowe. Strach mnie opanował, gdy na tych klójących się dziecinnie posłów patrzyłem.

— Klójących się i pijanych—przerwał Zdzisław—bo podczas przerw panowie posłowie idą do sejmowej sali bufetowej, piją do upadłego, a potem, zataczając się, idą obradować nad sprawami państwa. A przy każdym telefonie w sejmie siedzą posłowie i telefonują do różnych biur i urzędów. W każdym biurze ministra, wojewody lub starosty spotkasz posłów, którzy popierają swemi wpływami różnych kandydatów na większe lub mniejsze posady. Dziś bez protekcji nie dostaniesz się nigdzie⁴¹.

— Jakiś ponury cień unosi się nad wszystkim. Autorytet władzy upadł zupełnie. Słuchaj, Zdzisławie, boję się o Polskę.

— Sądzisz, że ja się o nią nie boję? Powiedziałem już: idziemy ku zatraceniu. Warsztaty pracy zamierają. Przeszliśmy inflację, znów ona nam grozi. Olbrzymie podatki rujnują społeczeństwo. Prezydent i rząd, w rękach partyj sejmowych, znosi te wszystkie nadużycia, aby uniknąć przesilenia. Przed nami przepaść gospodarcza. Jeden, jedyny człowiek mógłby ocalić państwo — nasz dawny Komendant!

— Ale on na wygnaniu.

— Może powrócić, może znowu ująć ster rządów w silne i doświadczone ręce!

— Lecz czy powróci?

— Jeżeli nie — to Polska stracona, bo nie nastąpiło w państwie odrodzenie duszy narodu. Łajdacy się rozpanoszyli, a dla społeczeństwa to obojętne; bawią się, tańczą, nie widzą bankructwa politycznego, nie

widzą przepaści gospodarczej. Kręcą się wszyscy 123
w obłędnym tańcu z „Wesela“ Wyspiańskiego. Byłem raz na takim dancingu, w Bristolu. Bo muszę ci się przyznać, że pokochałem rozbawioną nowoczesną pannę, Rysię Gryf-Borzęcką. Rodzice jej pochodzą z Kresów, z Podola. Może ich znałeś?

— Gryf-Borzęccy? Tak, przypominam sobie. Panna Mira Strumińska poślubiła jednego z synów starego Borzęckiego. Poznałem ją już jako mężatkę, miała smutne, świetliste, orzechowe oczy, bladą twarzyczkę i serce przepelnione miłością Ojczyzny. Więc ta rozbawiona panna o której wspominasz, byłaby jej córką? Czyżby się tak różniła od matki? Pani Mira to poważna, zapatrzona w ideały, kobieta. Przynajmniej znałem ją taką.

— I do dziś dnia jest taka, ale córka jej — to roztańczona, rozflirtowana lalka salonowa, mimo to kocham ją! Otóż, któregoś wieczora kazała mi przyjść na dancing. Żebyś ty zobaczył tych bawiących się ludzi! Przy stolikach ministrów leją się strugi szampana, na parkiecie dancingu, w czułych objęciach, tańczą pary schimmy i fox-trotta. — Roztańczona, pijana jakimś niezdrowym szalem sala! Lubieżne spojrzenia mężczyzn, uwodzicielskie uśmiechy kobiet. Wstrętne to było, och jakież wstrętne! A ona, ta, którą kocham, tańczyła w objęciu zblazowanego mężczyzny, wystukując obcasami swych złotych pantofelków zawrotne pas fox-trotta. Nie mogłem na to patrzeć — uciekłem.

— Jakies otępienie panuje w naszym społeczeństwie — rzekł smutnie Rościśław.

— A czy wiesz — mówił po chwili milczenia Podbielski — że przywódcy sejmowi wyciągają już ręce po wpływy w wojsku. Chcą wciągnąć wojsko do prze-

targów politycznych. Wyrrywają z dusz żołnierskich miłość do dawnego Wodza. Prasa żądała oddania tych oficerów pod sąd, którzy się udali do Sulejówka, by złożyć w dniu imienin życzenia Piłsudskiemu. Witos głośno w swej mowie powiedział, że Piłsudski: „zrobił, co miał zrobić i nam on już niepotrzebny“⁴².

— Wydaje się niepodobieństwem, że Polak mógł takie wypowiedzieć słowa. Zginie Ojczyzna, gdy tacy ludzie rządzić nią nadal będą.

— Nie, nie zginie, bo Marszałek do czasu tylko cierpliwy, ale gdy się przekona, że ku zagładzie Naród idzie, powstrzyma go nad przepaścią.

— Jakżeż to zrobi? Przecież władzy mu nie oddadzą?

— To sam ją weźmie, gdy będzie uważał to za potrzebne dla dobra kraju.

— Oby się to stało jak najprędzej, Zdzisławie! To jedyny dla Polski ratunek.

— I stanie się tak, może prędzej niż sądzisz.

Mrok spowił izdebkę na poddaszu i dwóch młodych mężczyzn, zamysłonych nad idącą ku przepaści Polską.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Przed kominkiem, w głębokim fotelu siedzi Mira Gryf-Borzęcka.

Myśli jej pomknęły w dawne, odległe lata.

Tak jeszcze wydaje się niedawno, gdy była młodziutką, o złotych warkoczach dziewczyną, kochającą pierwszem wielkiem uczuciem narzeczonego.

Lecz odrzuca to wspomnienie. Nie trzeba o tem 125
myśleć — to na zawsze pogrzebane.

A potem, potem poznała swego późniejszego męża. Ojciec chciał, by wyszła zamaż, więc została panią Gryf-Borzęcka.

Szczęście — tego nie zdobyła; szczęście jej, to był Aleksander.

Ale cóż — była dobrą żoną i matką. Kochała bezgranicznie swą maleńką Rysię.

Dziecko — to jej cały świat. Mąż pozostał obcym i obojętnym człowiekiem.

Ojciec widział to i bolał bardzo. Biedny, nieszczęśliwy ojciec...

Zginął zamordowany przez chłopstwo, gdyż nie chciał ze swego Strumiłowa uciekać.

„Tu kolebka mego rodu, tu kości mych przodków — nie rzucę swej ziemi“. Tak mówił.

I nie rzucił...

Myśli mkną dalej.

Uciekła z mężem i maleńką córeczką do Warszawy. Biedy nie zaznali, jak inni kresowcy, gdyż udało się wywieźć cenną biżuterję, a w parę miesięcy po przybyciu do Warszawy mąż objął stanowisko dyrektora banku.

Lata płynęły.

Rysia ukończyła pensję i... zaczęła się bawić.

Rysia, śliczna, roztańczona, salonowa panna.

Nigdy jej w domu niema. W dzień musi przecież mierzyć suknie, kupować pantofle i kapelusze, wieczorem dancing, bal, teatr lub wizyty i flirt, flirt, ciągle flirt.

Otoczona hołdami mężczyzn, zepsuta powodze-

niem, z grymasem znudzenia na ustach, w strojnych, króciutkich sukienkach — to jej córka.

Gdzieś, w sali balowej, zgubiła swoją młodą duszę.

Był czas, że myślała o zmianie usposobienia Rysi. Piękny i młody rotmistrz Podbielski zajął na chwilę śliczną pannę. Myślała, że ten człowiek o wzniosłych ideałach pomoże jej córce odnaleźć zagubioną duszę. Ale nie — wyśmiała go, wykpiła i coraz częściej przebywa ze zblazowanym Sęp-Szarzyńskim. Na tę myśl niepokój opanowuje Mirę. Nigdy nie lubiła Szarzyńskiego, chociaż od przyjazdu ich do Warszawy był u nich częstym gościem. Najpierw jej asystował bezskutecznie, a z chwilą gdy Rysia dorosła, zaczął się nią zachwycać.

Boże, nie dopuść, by to młode stworzenie zostało żoną takiego bezwartościowego, zblazowanego człowieka!

Ale Rysia coraz przychylniej mówi o Szarzyńskim.

— Mamusiu, przysłałam ci obwieścić wielką nowinę.

Drgnęła i odwróciła się.

Na środku salonu stała Rysia.

— Co za nowinę, córeczko?

— Przyjęłam przed chwilą oświadczyzny Szarzyńskiego i latem wychodzę za niego.

— Rysiu, czyś się zastanowiła nad tem, co robisz? Czyż to możliwe, żebyś go kochała?

— Kochała! Co za przestarzałe ma Mamusia pojęcia — odparła Rysia i, wzruszając ramionami, usiadła na fotelu.

— Więc go nie kochasz i chcesz żoną jego zostać?

— A cóż to ma jedno do drugiego! Partja dobra,

126 jest bardzo bogaty i nosi znane nazwisko.

Smutnie patrzyła na śliczną twarzyczkę córki. 127
Milczała, cóż miała mówić?

Rysia i tak zrobi, co zechce.

— Postanowiliśmy, że po ślubie zamieszkamy na stałe zagranicą. Dosyć już mam tego wstrętnego polskiego klimatu, tych deszczów i mgieł. Będziemy mieszkali na Rivierze. Muszą tam być ciekawsze zabawy niż u nas. Beznadziejnie znudziła mnie Warszawa.

— I nie zatęsknisz za Ojczyzną?

— Ojczyzna? Śmieszne słowo! Tam jest Ojczyzna, gdzie nam dobrze. Ja osobiście wolę piękną, słoneczną Rivierę niż tonącą w deszczach Warszawę.

— Dla Podbielskiego wiadomość o twych zaręczynach będzie ciosem. On tak bezgranicznie cię kocha.

— A wiesz, mammo, że byłam bliska zakochania się w nim i kto wie, co by się stało, gdyby nie te jego umoralniające rozmowy. Znudził mnie. To rzecz najgorsza, jaka się może przytrafić mężczyźnie: znudzić swoją ukochaną.

— Więc twoje małżeństwo z Szarzyńskim nieodwołalnie już postanowione?

— Tak, mammo — nieodwołalnie.

— Przecież on o dwadzieścia lat starszy od ciebie.

— No to co? Jak już zupełnie zniedołężnieje — rzucę go. Nie mam zamiaru być pielęgniarzką męża. Ale nim to się stanie, będę z nim jeszcze miała dużo przyjemnych chwil.

— Rysiu, Rysiu, obyś nie pożałowała tego kroku.

— Ach, Mammo, zamiast się ucieszyć lub przyjąć tę wiadomość obojętnie, mówisz jakimiś średniowiecznymi zdaniem. Nudzi mnie to, Mammo, nudzi.

— A co ciebie nie nudzi, dziecko?

— Co? Taniec, flirty i stroje.

W „Oazie“ wszystkie stoliki zajęte.

Nic dziwnego: karnawał.

Na podjum gra wrzaskliwie jazz-band, tańczą pary, przeginając się lubieżnie.

Przy stoliku siedzi Rysia w towarzystwie Szarzyńskiego.

Suknia ze złotej lamy jakby pancerzem otacza jej ciało, odsłaniając zgrabne nogi, obciągnięte cielistymi jedwabnymi pończoszkami.

Czarne olbrzymie oczy patrzą ze znudzeniem na salę.

W wąskich długich palcach, błyszczących od brylantów, trzyma cieniutkiego papierosa.

— Iwo, wiesz, nudzę się...

Szarzyński pochyła w jej stronę łysiejącą głowę.

— Moja khólowa się nudzi? To sthaszne — co mam uczynić, by wywołać uśmiech na dhogich usteczkach?

— Po pierwsze, nie mów do mnie takim tonem. Nie znoszę napuszonych słów.

— O ja nieszczęsny! Więc co mam uczynić, byś była zadowolna, khólowo?

— Ach, Iwo, zacznasz mnie nudzić.

— To okhopne, coś powiedziała, okhopne, ale ja od ciebie zniosę wszystko, nawet najgołsze upokorzenie.

Rysia spojrzała uważnie na niego — te zmarszczki koło oczu, ta łysiejąca czaszka, przecież to starzec...

— Iwo, wiesz, że gdybyś tak nie umiał całować, to zerwałabym z tobą — mówi powoli, patrząc w jego niebieskie wyblakłe oczy.

— Szczęśliwy jestem, że chociaż jedną dodatnią sthonorę we mnie znalazłaś.

— Nie w tobie, nie w tobie, a tylko w twoich pocałunkach.

— Jesteś bardzo cyniczna, Hysiu, ale ja to lubię.

— Chcę tańczyć.

— Służę mej khólowej.

Zmieszali się z parami.

— Bo ja się boję sama spać... — zaśpiewał piskliwie gitarzysta.

— Hysiu, oszaleć można dla ciebie, pophostu oszaleć — szeptał Szarzyński, tuląc ją mocno do siebie.

— A czy ty wogóle możesz oszaleć?

— Sthasznie mnie dziś obhażasz, Hysiu.

Obraża — ach, doprawdy sama nie wie dlaczego, ale właśnie wydaje się jej dzisiaj Szarzyński wprost kretynem. Złości ją każde jego słowo, a w uszach brzmią ciągle słowa matki:

„Obyś nie pożałowała tego kroku“.

Ach śmieszne! Czego ma żałować? Czy tego, że mieszkać będzie na Rivierze w cudownym pałacu i ubierać się jeszcze piękniej niż teraz?

— O czym tak myślisz, Hysiu?

Odparła bez wahania: „o naszym ślubie“ i lekko, niedostrzegalnie musnęła krótko obciętemi lokami skroń narzeczonego.

Bawią się w sali dancingowej przedstawiciele rządu, posłowie, ziemiaństwo, bawi się śliczna panna...

Tańczą w zawrotnym rytmie, tańczą... A muzyka gra, gra dziwną melodję, przy której zapomina się o Ojczyźnie, obowiązku, honorze.

Chochół zajął miejsce na podjum dla orkiestry i gra, tego gra.

Tańczy Warszawa, tańczy cała Polska, tańczy dziwny, zawrotny, nad przepaścią tan...

A chochoł gra...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

W małym białym dworku ukrył się przed światem Ten, który Polskę stworzył.

Dlaczego nawet tu, w tej pustelni, nie dadzą spokoju? Dobrowolnie odszedł na wygnanie, dobrowolnie oddał władzę.

Czego jeszcze od niego chcą? Czemu nienawiścią wykrzywione usta rzucają oskarżenia? Czemu obrzucają błotem wszystko, co serce ukochało?

Sypią się zewsząd oszczerstwa, zniewagi.

Nawet koń ukochany przeszkadza.

Kasztanka, wierna towarzyszka w bojach, jest pośmiewiskiem we wszystkich szopkach warszawskich.

Kasztanka, Komendantowa kasztanka...

„Jedzie, jedzie na kasztance, siwy strzelca strój,
Hej, hej Komendancie, miły Wodzu mój...”

To dawne, dawne legionowe echo...

Gdzie wy, wierni legionowi towarzysze, gdzie?

Pod sąd was oddać chciano za to, żeście przybyli do Sulejówka, by życzenia dawnemu Komendantowi złożyć. 131

Na poniewierkę wszyscy, którzy czczą Ojczyznę i honor, na poniewierkę.

Ponure, rozpaczliwe myśli, jak macki jakiegoś potwora oplątują mózg i duszę.

Ku przepaści idzie Ojczyzna, rozkład się szerzy w organizmie Polski. Wszędzie kradzieże, przekupstwa, wszędzie bagno partyjnictwa.

Jakże ciężko, jak źle, wygnańcowi w Sulejówku.

I nagle, najboleńsza przychodzi wieść: wojsko chcą oddać na pastwę partyjnictwa! Jego wojsko!

Jeśli to się stanie, to już koniec, koniec Polsce.

Bolesne brózdki wyźłobiła troska na twarzy — tragicznie patrzą oczy z pod krzaczastych siwych brwi.

Nadludzki ból szarpie sercem.

Jakieś maleńkie rączki otaczają szyję. A potem dziecięce paluszki zmarszczek dotykają. Pytają różowe usteczka: „Czemu smutny?“

Dziecko... uśmiech niewinny i jasny, jakim się tylko dziecko uśmiechać umie, uśmiech ten rozjaśnia na chwilę smutną twarz wygnańca Sulejówka.

Patrzy na siebie dwóch ludzi.

Człowiek w niebieskim mundurze, z głową osiwiałą w walkach o Polskę, z szaro-stalowymi oczami, i ten, który jest najwyższym dostojnikiem Rzeczypospolitej — prezydent Stanisław Wojciechowski.

— Ostrzegam — nie wolno oddawać wojska na łup targowiska sejmowego.

— Chciałbym partjom się oprzeć, ale... czuję, że ulegnę — rozkładając bezradnie ręce, odpowiada Prezydent.

...Czuje, że ulegnie...

A więc niema już o czym mówić, niema... Trzeba wrócić do swej pustelni, do cichego białego dworku.

I znowu mijają dni, szare, beznadziejnie smutne dni...

Jak grom, przysłała wiadomość: gabinet Witosa — gabinet, który jest przypomnieniem tego rządu, za którego czasów stała się najpotworniejsza zbrodnia — zabójstwo Prezydenta!

Ten gabinet, to wyzwanie rzucone wygnańcowi Sulejówka.

Co czynić? O Boże, co czynić?!

Na zgubę idzie ukochana Ojczyzna.

W bezsenne noce rwie się na strzępy w męce dusza.

Otaczają tego, w którego rękach spoczywa ratunek Narodu, jasne postacie z 1863 roku.

— Idź i czyń... — wołają duchy. — Idź i czyń, ratuj Polskę...

...A jeśli popłynie krew? błysnęła rozpacзлиwa myśl.

— To nic, jeżeli popłynie, będzie to dla dobra Ojczyzny. Idź i czyń!

Niezlomna decyzja zajaśniała w szaro-stalowych oczach.

Pójdzie, stanie do walki o duszę Narodu — stanie do walki z garstką tych ludzi, którzy nie opuścili go w dniach smutku.

Będzie walczył, a wtedy może się nareszcie ocknie społeczeństwo i zbudzi się uśpioną letargicznym snem dusza. 133

Samotnik Sulejówka przyjął wyzwanie Witosa.

— Ależ pustki — mówi ze zdziwieniem Rysia, rozglądając się po widowni teatru Polskiego.

— A mówiłem, że dziś nie trzeba było iść. Z wia-
hobodnych ust słyszałem, że Piłsudski hano był na
dwohcu, na Phadze i idzie na Wahszawę. Mówiłem
o tem, Hysieńko, ale moja khólowa wszystko jedno
upahła się iść do teathu.

— No i co? przedstawienie się odbywa, więc o cóż
idzie?

— Ale tam się biją i jak będziemy whacać jeszcze
w nas jakaś kula thafi.

Rysia ze zniecierpliwieniem wzruszyła ramionami.
Iwo coraz bardziej ją denerwował. Od czterech już
miesiący jest z nim zaręczona, teraz maj, w czerwcu
ma się odbyć ich ślub.

Im bliżej było tego terminu, tem coraz więcej do-
strzegała minusów w Szarzyńskim, a jego stały zwrot:
„Moja khólowa“, doprowadzał ją do pasji.

Miała satysfakcję, gdy mogła mu coś zrobić na
złość. Właśnie dzisiaj zdarzyła się taka sposobność.
Odradzał pójście do teatru, więc to właśnie wystarczy-
ło, że zdecydowała się pójść.

Gdy jechali autem do teatru Polskiego, panował
na ulicach niezwykle ruch, ale to bynajmniej nie prze-
straszyło Rysi.

Chciała być w teatrze i będzie.

Trochę nieprzyjemnie, że tak pusto, ale za to Iwo zdenerwowany, a to też coś znaczy.

— Taka miłość może egzystować tylko na scenie—myśli Rysia, gdy słucha pięknych wierszy, jakie płyną z ust Malickiej, grającej rolę służebnicy, która kocha bez wzajemności króla Dagoberta.

Tylko na scenie? — Nie — zna kogoś, kto potrafiłby tak właśnie kochać. Sama nie wiedziała dlaczego, ale od czasu zaręczyn z Szarzyńskim coraz częściej myślała o Podbielskim. Może on miał słuszość, twierdząc, że w życiu trzeba mieć jakąś ideę i cel? — Może rzeczywiście jej życie jest puste i jałowe? Dziwiła się tym myślom, ale nie mogła ich od siebie odpedzić. Zaczęły ją nudzić dancingi i spędzanie ranków w domach mód. Często zostawała wieczorami w domu, czytając książki, które jednak odrzucała z niechęcią. Chciałaby zobaczyć Podbielskiego, ale rotmistrz od dnia jej zaręczyn przestał przychodzić. Tak, onby potrafił kochać jasną, czystą miłością.

Ale cóż... z piersi Rysi, uleciało leciutkie westchnienie.

Gdy wyszli z teatru, usłyszeli strzały.

— Słyszysz, Hysieńko, strzelają — rzekł Iwo z niepokojem.

— Boisz się, rycerzu, prawda?—zapytała drwiąco.

— Nie, co znowu, ale wsiadajże do auta, khólowo.

— Nie myślę wsiadać, pójdę piechotą!

— Ale jak można!

— Można czy nie, idę.

— No to thudno, to ja też idę, ale jak mnie zabiją, to khew moja padnie na twe sumienie, khólowo.

— Nie obawiam się obciążenia swego sumienia.

134 Jak cię zabiją, mała się stanie szkoda.

— Hysieńko, to okrutne co mówisz.

Znaleźli się na Krakowskiem Przedmieściu.

Raz po raz rozlegały się strzały. Szarzyński przystanął.

— Hysiu, ja dalej nie pójdę — zabijają mnie jeszcze.

— To nie idź, tchórze, pójdę sama.

Nie namyślając się, przebiegła jezdnię i skręciła w ulicę Traugutta.

Szarzyński chwilę stał, wreszcie pobiegł za narzeczoną.

— Czego ja dla niej nie zhobię, czego nie zhobię — jęknął rozpaczliwie, gdy odgłos kanonady zmusił go do zatknięcia dłońmi uszu.

Dogonił Rysię na ulicy Traugutta.

— Khólowo, chociaż nazwałaś mnie tchórzem i tem samym sthasznie mnie obhazyłaś, ale jestem przy tobie, by cię obhonić.

— Ciekawe przed czem? A poza tem wyobrażam sobie, jakaby to była obrona!

— Ach, jak ty mnie thaktujesz, to okhopność!

Szli w milczeniu ciemnymi ulicami miasta.

Strzały nie ustawały.

Iwo co chwila ocierał pot, jaki mu ze strachu występował na czoło, na myśl o tem, że jakaś kula może przeciąć pasmo życia ostatniego z rodu Sęp-Szarzyńskich — co byłoby niepowetowaną stratą dla społeczeństwa.

Odetchnął z ulgą, gdy stanęli przed domem, gdzie mieszkała Rysia.

— Do widzenia, odważny rycerzu — rzekła, podając mu rękę — a bądź ostrożny, żeby w twoje pięk-

ne czoło nie trafiła jakaś kulka! — dodała, śmiejąc się ironicznie, i zniknęła w bramie.

Gdy zadzwoniła do mieszkania, drzwi otworzyła jej matka.

— Dziecinko! Tak się o ciebie bałam, jakież to szczęście, że już jesteś.

— Nic mi się złego nie stało, ale... czy mogłabyś ze mną, Mamusiu, chwilę porozmawiać?

— Naturalnie, Rysiu, chodź do mego pokoju — pomówimy.

Gdy się znalazły w buduarze Miry, Rysia po chwili wahania, zapytała:

— Chciałabym się dowiedzieć, Mamusiu... o co właściwie zaczął walczyć Piłsudski? Bo, bo ja nie wiem... temi rzeczami nigdy się nie interesowałam.

Mira ze zdziwieniem spojrzała na córkę. Jakto? Rysia pyta o takie rzeczy? Rysia nie mówi, że to nudne?!

— Więc słuchaj, córeczko: Józef Piłsudski od lat młodzińskich walczył o niepodległość Polski. Niczego się nie uląkł, ani więzienia, ani Sybiru. Szedł wytkniętą przez siebie drogą, szedł zapatrzony w wizję odrodzonej Ojczyzny. I dopiął celu — wskrzesił Polskę. Ale w odrodzonym państwie uchwycili władzę ludzie bez idei i prowadzili kraj na zgubę. Piłsudski patrzył na to, łamał się wewnętrznie, wreszcie postanowił: stanął do walki o duszę narodu.

Rysia wstała z fotela, zbliżyła się do matki, usiadła u jej kolan, jak siadywała w latach dziecięcych i, opierając na dłoni śliczną główkę, rzekła prosząco:

— Opowiedz mi wszystko obszernie, Mamusiu.

136 Opowiedz, jak walczył i tworzył Polskę Piłsudski.

Ze wzruszeniem zaczęła mówić Mira o idei i czy- 137
nie Tego, który nad wszystko Ojczyznę ukochał.

Zdumieniem rozszerzały się cudne oczy Rysi.

I przyszło nagłe zrozumienie:

— Ojczyzna, honor, Marszałek.

A wśród ciemnej nocy brzmiała kanonada... To
o duszę Polski toczyła się zażarta walka.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

— Proszę panienki, jakiś pan — mówi, że w waż-
nej sprawie.

— Czy ma pewno do mnie?

— Tak, powiedział, że musi się widzieć z panną
Borzęcką.

— Powiedz mu, Andziu, że już idę.

Kto to może być? myśli Rysia, wchodząc do salonu.

Na jej widok wstał z krzesła młody mężczyzna,
bardzo biednie ubrany.

— Czy panna Borzęcka?

— Tak. W jakiej sprawie pan przybywa?

— Jestem Rościśław Młodzianowski. Przyjaciel
mój a pani znajomy, rotmistrz Podbielski, jest ciężko
ranny. Chce koniecznie widzieć panią.

Rumieńce zniknęły z twarzy Rysi.

— Ranny?!

— Tak jest. Proszę się ubrać; trzeba, by pani za-
raz poszła do szpitala.

Stoi nieruchomo na środku salonu śliczna panna.
Nagle zapytuje:

— Rotmistrz Podbielski walczył po stronie Marszałka, prawda?

— Oczywiście, proszę pani, że po stronie naszego dawnego Komendanta.

— I został ranny — powtarza bezwiednie Rysia.

Zniecierpliwienie odbiło się na twarzy Rościszława:

— Mówiłem już to pani. Idźmy.

— Tak, idźmy.

Po raz pierwszy bez pomocy lustra wkłada Rysia kapelusz.

Szybko, bardzo szybko zbiega po schodach za nią Młodzianowski.

Wskoczyła do swego auta, stojącego przed domem, i usiadła przy kierownicy, wskazując Rościszławowi miejsce obok siebie.

— Do jakiego szpitala? — zapytała, kładąc ręce na kierownicy.

— Ujazdowskiego.

Do białej szpitalnej sali weszła Rysia, z trwogą patrząc na rannych.

Rościszław zbliżył się do stojącego koło okna łóżka.

— Ździszławie, przyszła panna Borzęcka.

Z trudem uniosły się powieki rannego i słaby uśmiech przesunął się po jego ustach.

— Rysia... — szepnął, zatrzymując wzrok na ślicznej postaci, stojącej obok jego łóżka — Rysia... to dobrze, chciałem panią zobaczyć, by powiedzieć, że jest wielka idea, że żyć dla niej trzeba... pani w to uwierzyła już, prawda?

Pełne łez są cudne czarne oczy Rysi, skurcz jakiś schwyił ją za gardło.

Idea... tak, zrozumiała to, zrozumiała tej nocy, gdy
138 o duszę Polski toczyła się walka.

Pochyliła nad chorym swoją śliczną główkę.

— Uwierzyłam już — mówi, a po twarzyczce płyną łzy, których się nie wstydzi — uwierzyłam i.. znalazłam swoją zagubioną duszę.

— Rysiu... kochanie moje... Rysiu.

Kłęka przy nim.

— Kocham pana, zrozumiałam to teraz — szepcze cicho.

Uśmiech niewysłowionego szczęścia opromienił twarz Żdzisława.

W ciepły czerwcowy wieczór, pachnący zielenią i kwiatami, szła alejami Ujazdowskiemi Rysia ze swoim narzeczonym, majorem Podbielskim. Rozmawiając wesoło, doszli do końca alej i usiedli na ławce.

— Czy się nie zmęczyłeś? — zapytała troskliwie Rysia Żdzisława, który przed tygodniem wyszedł dopiero ze szpitala i czuł się jeszcze niezbyt dobrze. Po raz pierwszy dzisiaj zaryzykował dłuższy spacer.

— Nie, kochanie, nic a nic nie czuję zmęczenia.

— Prędko już wyjeżdżasz do pułku?

— Za miesiąc, myślę, że może już nie sam.

— A z kim? — uśmiechnęła się figlarnie.

— Z tą oto najśliczniejszą moją panią — odpowiedział i przytulił do ust rękę Rysi. — Ale powiedz mi, kochana, czy nie boisz się nudów życia pułkowego, ty, przyzwyczajona do ciągłych zabaw?

— Nie przypominaj mi mego dawnego życia. Już z tem skończyłam na zawsze. Pracuję teraz społecznie i wcale nie chcę się bawić. Mam teraz jeden tylko cel; a jest nim: stać się godną zostania żoną oficera polskiego.

— Rysiu... moje ty szczęście jedyne.

— Powiedz mi — odezwała się po dłuższej chwili milczenia Rysia — dlaczego Marszałek nie chciał zostać prezydentem?

— Czyż nie wiesz dlaczego? Przecież w piśmie, skreślonym do marszałka sejmu, zaznaczył, że nie może wywalczyć w sobie zapomnienia. Że w pamięci stoi Mu tragiczna postać zamordowanego Prezydenta, którego nie mógł od straszego losu uchronić. Gdyby chciał, mógłby się Marszałek ogłosić dyktatorem, ale on chce w Polsce rządzić bez bata. Chce, by sejm był, tylko nie taki jak dotychczas. Wyniósł z jaskini przekupniów majestat Rzeczypospolitej. Rozpoczął teraz wyteżoną pracę nad ustaleniem podstaw państwowości. Marszałek zawrócił Polskę z nad przepaści i prowadzi ją drogą odrodzenia. Liczyć się z nami zacznie zagranica, rozwinie się wojsko we wszystkich dziedzinach. Potężna i wielka stanie się teraz nasza Ojczyzna!

— Chodź, Żdzisławie — rzekła Rysia, wstając z ławki — zobaczymy, czy w oknach Belwederu światło się pali.

Przeszli przez jezdnię i stanęli naprzeciwko pałacyku, w którym zamieszkał Wskrzesiciel Polski. Jasną smuga światła padała z okien:

— Spójrz, Rysiu, za temi oknami czuwa nad Polską Marszałek.

Silna, jedna, Najjaśniejsza Rzeczpospolita.

A w Belwederze — Marszałek przy biurku pochylony pracuje nad tem, by Polska coraz potężniejsza
140 była.

On — rzeźbiarz dusz — Wódz — mąż stanu, On — 141
w niebieskim mundurze, o szaro-stalowych, mądrych
oczach.

On — Ziuk — Towarzysz Wiktor — Komendant —
Brygadjer — Wódz Naczelny — Marszałek Polski, Jó-
zef Piłsudski.

Minęło 9 lat „wyścigu pracy“. Pod opiekuńczemi
skrzydłami Twórcy niepodległości rozwijała się potęż-
na państwowość Polski.

Naród, na nowo powołany do życia przez swego
Wskrzesiciela, po długim śnie letargicznym niewoli,
tworzy, pracuje i odpoczywa po cierpieniach, zada-
nych przez najeźdźców.

Powstały: znakomite wojsko, sławne lotnictwo,
marynarka, Gdynia.

Żyj i pracuj spokojnie, Narodzie Polski. On nad
Tobą czuwa!

Z Belwederu wyciągają się mocne ramiona i tulą
cię, Narodzie, do miłującego serca ojcowskiego.

I przyszedł 1935 rok.

Idzie jego wiosna niechętnym, ociągającym się kro-
kiem, idzie bowiem ta wiosna, o Polsko, zadać ci stra-
sny cios, nigdy nieogajając się ranę w serce.

W cichy wieczór majowy jak piorun przeszła na-
gle serca Narodu Polskiego straszna wieść.

On nie żyje!

I poszli bezradni jak dzieci pod ściany Belwederu...

Poszli po promyk nadziei...

Kto, kto powiedział, że On nie żyje?

To omyłka, to być nie może! On zaraz wyjdzie,
ukaze się oczom stęsknionym...

Narodzie polski, On już nigdy nie wyjdzie z Bel-
wederu, lecz natęż słuch w cichą noc księżycową, a po-
słyszysz, jak nadal płynie jego rozkaz z Wawelu dla
teraźniejszych i przyszłych pokoleń:

„Miłować Ojczyznę nadewszystko!“

P R Z Y P I S Y

- ¹ Duża pauza.
- ² O czym się zamyśliłeś, Ziuk?, myślisz, że znowu otrzymasz dwóję z języka rosyjskiego?
- ³ Cóż, zgadłem?... otrzymasz dwóję, ty Polaku!
- ⁴ Nie chcę z tobą rozmawiać.
- ⁵ Aleksy, chodź, zagramy w klasy.
- ⁶ Czemuś taki zasepiony?
- ⁷ Nie wolno rozmawiać po polsku.
- ⁸ Ty, Piłsudski, czyś zapomniał, że mówienie w tym języku zakazane?
- ⁹ Pójdiesz na 3 godziny do karceru — i żebyś mi tego więcej nie robił. No, powiedz, że już po polsku mówić nie będziesz.
- ¹⁰ To hardy Polak.
- ¹¹ Polak-Polak.
- ¹² Duża pauza.
- ¹³ A ty idziesz po lekcjach do karceru — słyszałem?!
- ¹⁴ Cicha noc ukraińska.
- ¹⁵ „Wola Narodu“ — nazwa partji liberalnej w połowie ubiegłego stulecia, która na całym obszarze b. Rosji walczyła z caratem.
- ¹⁶ Buntowników
- ¹⁷ Prawomyślny.
- ¹⁸ Główna ulica w Kijowie.
- ¹⁹ Co się stało?
- ²⁰ Omal panienki nie rozjechaliśmy.
- ²¹ Pewnie się Pani przestraszyła, chociaż to nie moja wina.
- ²² Jeśli Pani pozwoli, odwiozę Panią do domu.
- ²³ W imieniu prawa proszę otworzyć.
- ²⁴ Pan Szymański?
- ²⁵ Jest Pan aresztowany.
- ²⁶ „Czapkami ich zarzucimy“.
- ²⁷ Autentyczne słowa ś. p. marszałka Piłsudskiego z okresu walk konspiracyjnych.
- ²⁸ Słowa marszałka Józefa Piłsudskiego z czasów walki konspiracyjnej.
- ²⁹ Urywek ten pisany na podstawie listu towarzysza Wiktora do Feliksa Perla w przededniu akcji bezdańskiej.

- ³⁰ Słowa te zostały wypowiedziane przez Józefa Piłsudskiego na odczytaniu w Towarzystwie Geograficznym w Paryżu.
- ³¹ Autentyczne słowa marszałka Piłsudskiego.
- ³² Dokument.
- ³³ „Otwórz drzwi, ty bogaczu“.
- ³⁴ Rznąć panów.
- ³⁵ Autentyczne słowa marszałka Piłsudskiego.
- ³⁶ Według komentatora historii tego okresu, Jana Starżewskiego.
- ³⁷ Przemówienie to zostało wypowiedziane przez Naczelnego Wodza na posiedzeniu Rady Obrony Państwa dn. 19/VII 1920 roku.
- ³⁸ Ustęp powyższy jest pisany na podstawie jednego z współczesnych wywiadów u marszałka Piłsudskiego.
- ³⁹ Wyrażenie marszałka Piłsudskiego z mowy, wygłoszonej przed wyjazdem do Sulejówka.
- ⁴⁰ Słowa te zostały wypowiedziane w mowie marszałka Piłsudskiego na bankiecie w Bristolu dn. 3 czerwca 1923 roku.
- ⁴¹ Pisane na podstawie wyjątku z listu Ignacego Daszyńskiego.
- ⁴² Z mowy Witosa w Tarnowie, w kwietniu 1925 roku.

